

Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet

ISSN 1233-7161

Samarytanka

nr 99 (3/2012)

lipiec, sierpień, wrzesień



**Piękno w oczach
Boga** str. 1

**Ciąża
zagrożona** str. 12

**Byłam
markomanką** str. 30

W numerze:

- 1** Piękno w oczach Boga
Biblia o prawdziwym pięknie.
- 5** Przemyslenia na temat Joba
Nasza postawa w trudnych chwilach życia.
- 6** Bez tytułu
Zachęta do przyzdobienia duszy, która stanowi o prawdziwym pięknie człowieka.
- 8** Porządek w domu
O stworzeniu „planu biznesowego”, który pozwoli sprawnie i mądrze prowadzić dom.
- 12** Cięża zagrożona
Historia kobiety i jej dziecka z wadami wrodzonymi.
- 16** Bartuś
O Bożej pomocy w wychowywaniu niepełnosprawnego syna.
- 16** Z wiarą i nadzieją patrzymy w przyszłość
O miłości rodzicielskiej pełnej poświęcenia i wiary.
- 22** Wolontariusze w Ugandzie
Służba misyjna kilku młodych Polek wśród ugandyjskich dzieci.
- 28** Służba ubogim
O błogostawionej służbie wśród ubogich w Polsce.
- 30** Byłam narkomanką
O skuteczności Bożej terapii w życiu młodej kobiety.
- 32** Jak poznałem swoją żonę
Kilka wskazówek dla mężów, jak stać się lekarstwem dla swojej żony.
- 34** Małżeństwo jako potrójny sznur
O ważnej i cennej roli Boga w małżeństwie.
- 37** Świadeństwo mojego życia i nawrócenia
O Bożej terapii zrozpaczonej kobiety, która powierzyła Mu swoje życie.
- 40** Jak ucisk na nerw uratował moje małżeństwo
O błogostawionych skutkach uległości wobec męża.
- 42** Singiel - wybór czy konieczność?
Zachęta do wyzwolenia się z chęci życia w pojedynkę.
- 46** Święta żydowskie
Tym razem o znaczeniu świąt Rosz Haszana i Sukkot.
- 48** Przepisy kulinarne
Kilka przepisów na smaczne satatki.

Chrześcijańska Wspólnota Kobiet
Samarytanka - kobieta, która powiedziała innym, kim stał się dla niej Jezus

Wydawca: Wydawnictwo Chrześcijańskie ARKA, ul. Błogocka 28, 43-440 Cieszyn Redaktor naczelna: Tatiana Ilczuk-Hydzyk
Tłumaczenie tekstów: Małgorzata Mocha Korekta stylistyczna i skład: Jolanta Chwastek Druk: Wydawnictwo ARKA.
Nakład: 2600 egz. Zdjęcia i grafika: www.sxc.hu, www.fotolia.com. Wszelki przedruk tekstów za zgodą redakcji.



Piękno

w oczach Boga

„Jestem zwykłą kobietą”. Tak myśli o sobie wiele kobiet, ale pamiętajmy, że to Bóg nas stworzył i że jesteśmy częścią Jego wspaniałego planu. Bóg wyposażył nas w piękno, jakiego nic nie jest w stanie zastąpić. Wiem, że trudno byłoby znaleźć kobietę, która nie chciałaby być piękną. Wszystkie jesteśmy wyczulone na piękno zewnętrzne we wszystkich jego przejawach. Każda kobieta chce podobać się sobie i innym. Same wiemy, ile potrafimy poświęcić czasu, uwagi, pieniędzy, żeby poczuć się zadbane i piękne. Dobrze wiemy, jak reagujemy na komplement. To są najbardziej naturalne, wrodzone aspekty kobiecości, to jest przypisane naszej kobiecej naturze.

Ale żyjemy w czasach, w których ludzie mają obsesję na punkcie tego, co zewnętrzne. Wystarczy spojrzeć na stoiska z gazetami, zwrócić uwagę na tytuły kobiecych czasopism, zawartych w nich artykułów. Już czasopisma dla dziewcząt kładą nacisk na wygląd zewnętrzny. Nie ulega wątpliwości, że żyjemy w kulturze, która ma obsesję na punkcie tego, jak wygląda kobieta. Słowo „seksowna” stało się właściwie synonimem słów „piękna” i „atrakcyjna” - w szczególności przy opisywaniu wyglądu zewnętrznego kobiety.

Obsesja na punkcie tego, co zewnętrzne, wśród młodych kobiet stała się dla niektórych psychologiczną pułapką. Nigdy wcześniej w naszym społeczeństwie nie widzieliśmy większej ilości przypadków anoreksji i bulimii. Dla młodych kobiet ważniejsze staje się to, jak wyglądają, od tego, kim są. Wiąże się to także z innymi wypaczeniami. Wiele kobiet uważa, że to, jak są postrzegane przez mężczyzn, jest kluczem do ich szczęścia. Ale, niestety, wielu mężczyzn wierzy także, iż wygląd kobiety decyduje o pełni satysfakcji w ich życiu.

Z drugiej strony, obsesja na punkcie atrakcyjności fizycznej nie powinna całkowicie przekreślać zarówno realności, jak i ważności zewnętrznego piękna. Bo kiedy Bóg stworzył Ewę i pokazał ją Adamowi, dostrzegł on w niej doskonałość – która z całą pewnością związana była z wyglądem zewnętrznym. Była ona kobietą – szczególnym Bożym darem dla Adama.

Z pewnością osobowość Ewy nie sprowadzała się jedynie do bycia seksowną. Jej piękno dotyczyło również natury psychicznej i duchowej. Obydwoje przecież zostali stworzeni na obraz Boży. Jako że Bóg jest duchem i pozbawiony jest cech fizycznych, Ewa także odzwierciedlała obraz swego Stwórcy. Była ona żywą duszą, posiadającą wewnętrzny urok, którego źródłem był sam Bóg. Adam, wyrażając swoją aprobatę, dostrzegł więcej niż tylko cechy zewnętrzne Ewy, wbrew temu, co, być może, sądzimy.

Zostali ze sobą połączeni, stając się bratnimi duszami w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu. Niestety, doskonałość stworzona przez Boga została zniekształcona, gdy Ewa uległa pokusie i zjadła zakazany owoc. Od tego czasu wina i wstyd stały się częścią życia każdej z nas. Wpłynęło to także na relacje człowieka z Bogiem. Bo intymna społeczność ze Stwórcą, którą do tej pory Adam z Ewą mogli się cieszyć, została zastąpiona pragnieniem ukrycia się przed Bogiem – nie tylko w sensie fizycznym, ale i duchowym.

Oczywiście, w momencie, kiedy zgrzeszyli, Bóg nie odebrał nagle Ewie jej fizycznego piękna, a mężczyźnie męskości. Ale w tamtej chwili obydwójce doświadczyli przekleństwa śmierci – zarówno w sferze fizycznej jak i duchowej, a proces starzenia się ostatecznie wiązał się ze śmiercią. Czytamy w 1 Mż 3,19: *Bo prochem jesteś i w proch się obrócisz*. Piękno kobiety, ów dar od Boga, niestety, stał się zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Z jednej strony, miał być

wspaniałym atutem, sprawiając – przynajmniej chwilowo – że większość kobiet będzie się czuła dobrze sama ze sobą i będzie podziwiana przez mężczyzn. Z drugiej strony, fizyczne piękno kobiety może sprowadzać ją jedynie do obiektu pożądania w ich oczach.

Przyjrzyjmy się historii biblijnej. To właśnie uroda Saraj – nawet w wieku 75 lat – doprowadziła ją samą i Abrama do poważnych kłopotów z królem Egiptu. Zapis biblijny jest konkretny: *Gdy Abram przybył do Egiptu, zobaczyli Egipcjanie, że ta kobieta była bardzo piękna. A gdy ujrzeli ją dworzanie faraona, wychwalali ją wobec faraona, i zabrano tę kobietę do pałacu faraona* (1 Mż 12,14-15).

Abram spodziewał się takiej reakcji. Kiedy już zbliżali się do Egiptu, zwrócił się do Saraj, składając jej wielki hołd: *Wiem, że jesteś piękną kobietą. Gdy więc zobaczą cię Egipcjanie, powiedzą: To jest jego żona, i zabiją mnie, a ciebie zostawią przy życiu. Mów więc, jesteś moją siostrą, aby mi się dobrze wiodło ze względu na ciebie i abym dzięki tobie został przy życiu* (w. 11-13). Ostatecznie Bóg wyciągnął Abrama i Saraj z kłopotów, ale i tak nasuwa się tu jednoznaczny wniosek: grzech nie zniweczył fizycznego piękna Saraj, lecz stała się ona obiektem pożądania w oczach pogan.

Wypaczenie to nie ograniczało się w historiach biblijnych jedynie do niewierzących. Nie zapominajmy Dawida, człowieka według Bożego serca! Pewnego wieczoru, kiedy nie mógł usnąć, ponieważ jego żołnierze wyruszyli na wojnę, wstał ze swego łóża i przechodził się po tarasie swego królewskiego domu. Wtedy zobaczył kąpiącą się kobietę. Czytamy, że: *Była to kobieta wielkiej urody* (2 Sm 11,2). Choć Batszeba była żoną jednego z najbardziej zaufanych żołnierzy Dawida, postąpił po nią i popełnił z nią cudzołóstwo, czego późniejszym rezultatem było dziecko z nieprawego łóża. Również w tej historii widać, że grzech nie odebrał Batszebie jej piękna, jak również nie odebrał Dawidowi zdolności od-

powiedzenia na jej zmysłowe piękno – ale w chwili pokusy ta atrakcyjna kobieta stała się obiektem pożądania.

Dawid zapłacił wysoką cenę za popełniony grzech, bo jeden z najbardziej tragicznych skutków jego grzechu związany był z jego synem Amnonem, który zgwałcił Tamar, jedną z córek Dawida. Biblia opisuje tę młodą kobietę jako *nader piękną siostrę Absaloma* (13,15). Amnon był tak zachwycony urodą Tamar, iż uciekł się do podstępu i zhańbił ją. W tym momencie widzimy kolejny skutek grzechu: pożądanie Amnona przerodziło się w nienawiść! (2 Sm 13,15)

Nie ma wątpliwości, że grzech wpłynął na Adama i Ewę na dwóch płaszczyznach: ich relacji z Bogiem oraz między sobą nawzajem. Ponadto rzucił także cień na rolę kobiety. Jej piękno stało się jedną z jej największych zalet, ale również jedną z największych słabości. W rzeczywistości stała się ona nie tylko obiektem pożądania w wyniku wpływu, jaki grzech wywarł na mężczyzn, ale także zrozumiała, że można wykorzystać swój urok osobisty, aby manipulować płcią przeciwną, zarówno w celu osiągnięcia własnych celów, jak również wyrażenia gniewu czy frustracji. Gdybyście spytali prostytutkę, jaki ma stosunek do mężczyzn, prawdopodobnie odpowiedziałaby, że ich nie cierpi – często z powodu tego, że będąc młodą dziewczyną była wykorzystywana seksualnie przez ojca, wujka lub innego mężczyznę z rodziny lub sąsiedztwa.

Czym jest prawdziwe piękno?

Musimy zdać sobie sprawę z tego, iż prawdziwa wartość kobiety jest czymś głębszym niż tylko to, co można zobaczyć na zewnątrz. Jest ona związana z unikalnymi cechami, które charakteryzowały Ewę i były odbiciem cech samego Boga, zanim jeszcze grzech pojawił się na świecie.

Ap. Piotr określił tę cechę jako *ukryty wewnętrzny człowiek* (1 P 3,4). Oczywiście,

stwierdzenie to nie wyklucza piękna fizycznego, ale sugestia jest jasna: kiedy zewnętrzny urok przeminie, pozostanie piękno, które będzie trwać dłużej. Piotr określił je jako *niezniszczalny klejnot łagodnego i cichego ducha*, który jest jednym z ważnych cech Bożego wizerunku. Apostoł przestrzegał przed powierzchownością zewnętrznego piękna: *Ozdobą waszą niech nie będzie to, co zewnętrzne, trefienie włosów, złote klejnoty lub strojne szaty* (w. 3).

Zdanie to jest często odbierane w niewłaściwy sposób. Są chrześcijanie, którzy wierzą i nauczają, że jakiegokolwiek zewnątrz ozdoby są niewłaściwe, a zewnętrzne piękno, które jest Bożym darem, jest ważne dla mężczyzny i nie jest rzeczą złą, by korzystać z niego w celu sprawienia przyjemności temu, kogo kochamy i komu jesteśmy oddane w małżeństwie. Przeczytajcie Pieśń nad Pieśniami, zastanówcie się nad słowami danymi przez Boga w Przypowieściach Salomona: *Niech będzie błogosławiony twój źródło, a raduj się z żony twojej młodości! Milej jak lania, powabnej jak gazela! Niech jej piersi zawsze ci sprawiają rozkosz, upajaj się ustawicznie jej miłością* (Prz 5,18-19)!

Nie jest tajemnicą, że mężczyźni mają różne poglądy na piękno. Jeden wybierze na żonę cichą, skromną kobietę. Inny będzie szukał odważnej. Jeszcze inny będzie chciał olśniewającej. Ale niezależnie od tego, jak wyglądaliśmy, gdy wychodziłyśmy za mąż, wszystkie wiemy, że w miarę upływu lat nasze zewnętrzne piękno będzie się zmieniać. Pojawiają się zmarszczki... Większość kobiet dałaby niemal wszystko, aby wraz z upływem lat stać się coraz piękniejszymi. A jednak, każda kobieta, która należy do Chrystusa, posiada takie właśnie piękno! Bóg opisuje to w 1 Liście Piotra 3,4: *...lecz ukryty wewnętrzny człowiek z niezniszczalnym klejnotem łagodnego i cichego ducha, który jedynie ma wartość przed Bogiem*. Niezniszczalne i nieprzemijające pięk-

no rozpoczyna się we wnętrzu, a jego promieniowanie pozytywnie wpływa na wygląd zewnętrzny.

Mądry mężczyzna szuka kobiety z nieprzemijającym pięknem. Iskra w twoich oczach, serdeczny uśmiech, promienny, świeży, kobiecy styl bycia oraz duch łagodności i pokoju znaczą więcej dla twojego mężczyzny niż twoje cechy zewnętrzne, chociaż ważne jest także, by nie zaniedbywać troski o swoje ciało. Źródłem twojego niezniszczalnego piękna, tego, które pochodzi z wnętrza, jest duchowy stan twojego serca: *Jak myśli w sercu swoim, taki jest* (Prz 23,7).

Gdy twoje serce jest szczerze przed Bogiem, wypełnione Jego prawdą, miłością, twoje oczy i twój wygląd będą wyrażać postawę łagodności i pokoju. W przeciwieństwie do tego, przygaszone lub gniewne oczy, ostre linie warg, pochmurne spojrzenie to objawy złego stanu „serca”.

Twoje wewnętrzne piękno będzie widoczne, gdy nauczysz się spokojnie przyjmować nawet drobne irytacje i pozwolisz Chrystusowi wykorzystywać je, by uczynić cię jeszcze piękniejszą.

Niezależnie od tego, co powoduje twój niepokój, brak harmonii lub dezorientację, Bóg przedstawił w Biblii zasadę, dzięki której możemy zyskać harmonię i pokój.

Podobnie jak możesz naoliwić skrzypiący zawias u drzwi, możesz też naprawić wiele problemów. Ufaj Bogu, że będzie posługiwał się trudnościami, aby zmienić cię na swój obraz.

Życie wiary w Chrystusa nie zawsze będzie łatwe, ale to jest jedyne życie, które oferuje niezniszczalne piękno niezależnie od okoliczności.

Innym sposobem, dzięki któremu możesz przyjąć całkowite Boże zaspokojenie twoich potrzeb, jest dziękowanie Bogu za wszystko, włączając w to problemy i doświadczenia. Ap. Paweł napisał: *Za wszystko dziękujcie; taka jest bowiem wola Boża w Chrystusie Jezusie względem was* (1 Tes 5,18). Dziękowanie Bogu za wszystko dowodzi, że wierzysz Bożemu słowu. On obiecuje, że nawet gdy nie wszystko w naszym życiu wydaje się dobre, On będzie współdziałał we wszystkim dla naszego dobra, kiedy Mu ufamy (Rz 8,28).

Gdy będziesz uczyła się być wdzięczną, napotykać drobne problemy życiowe, łatwiej ci będzie dziękować podczas poważniejszych prób i kryzysów. Oczywiście, będzie to możliwe tylko wtedy, gdy będziesz się koncentrowała na wszechmocy Boga i Jego zdolności do wykorzystywania wszystkiego dla twojego ostatecznego dobra. Dzięki Jego wystarczalności będziesz mogła żyć ponad okolicznościami, a nie pod nimi, a życie nabierze nowego, cudownego wymiaru. Z wdzięcznym sercem będziesz doświadczać prawdziwej radości.

Pamiętaj jednak, że nawet gdy oddasz swoje życie Chrystusowi, On nie będzie wykonywał obowiązków, które ci wyznaczył. Chrystus nie będzie zmuszał cię do podejmowania decyzji.

On oczekuje, żebyś podejmowała je na podstawie Bożego Słowa, prowadzona przez Jego Ducha. Wtedy On będzie dawał ci moc potrzebną do ich wykonania, niezależnie od tego, jak trudne może być twoje życie czy małżeństwo.

Zachęcam do przeczytania autentycznych świadectw młodszych i starszych stażem wiary kobiet o ich często trudnych przeżyciach, dzięki którym zrozumiały, co w życiu jest najważniejsze. Także o tym, w jaki sposób Bóg realizuje marzenia modlących się kobiet. Zachęcam też do nadsyłania świadectw o Bożym działaniu w waszym życiu. Czekamy na nie i wierzymy, że nas nie zawiedziecie.

Przemyślenia na temat Joba

Job to człowiek, z którym utożsamiałam się w chwili, gdy mój świat się zawalił. Płakałam czytając jego księgę i współczując mu, przeżywając moje cierpienie. Oczywiście, wiedziałam, że nie mogę porównywać jego problemów do moich, ale byłam przekonana, że niejedna kilkudziesięcioletnia osoba nie doświadczyła choćby i ćwierci tego, co ja w wieku 22 lat: patologicznej rodziny, braku domu, bicia, zdrady, porzucenia, znieważenia, długów, a nawet myśli samobójczych i głębokiej depresji.

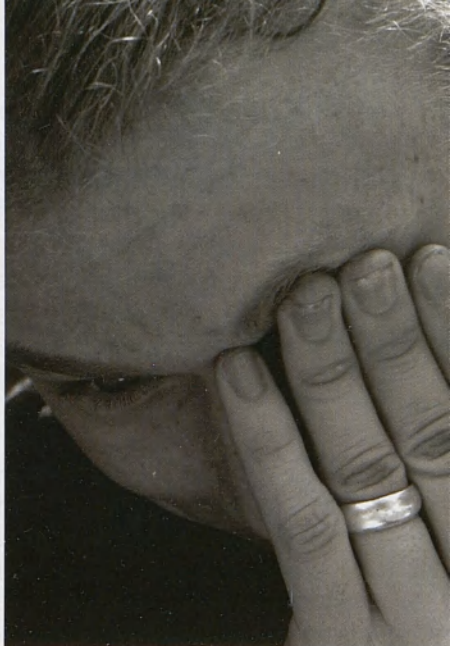
Ale to nie to jest najważniejsze. Przechodząc przez cierpienie, mogę pomóc innym, bo Bóg postawił mnie na wyżynach. Byłam głodna, więc zrozumieć głodnego...

Cierpienie może nas zabić albo wzmocnić, zamknąć albo otworzyć, skupić na nas samych albo nauczyć wyciągać wnioski i pomagać innym cierpiącym. Cierpienie to może być cios, ale umiejętnie odebrane może być darem, bo wyjdzie z niego coś zupełnie odwrotnego niż zamierzał szatan.

Szatan złości się, gdy, zamiast paść pod jarzmem niepowodzeń i starań, wstajemy w łzach i wołamy: „Jezus jest Panem moim i choćbym wszystko straciła, to On jest ze mną. Nie martwię się. Chwała Ci, Jezu! Jestem bity? On był bity! Jestem zdradzona? On był i jest zdradzony i zdradzany! Jestem biedna? On wyrzekł się bogactwa i chwały, i z Bożego tronu zszedł do żłobu! Jestem smutna? On smucił się moim smutkiem! Jestem słaba? On wziął mój krzyż i zawisł na nim!”.

Nic tak szatana nie złości, jak wiara w niewidzialnego Boga wbrew okolicznościom, jakie powinny nas z niej ograbić. Zły nie ma wtedy argumentów, by nas oskarżać. A Boga wysławia właśnie wiara w przeciwnościach. To ona oddaje Mu pełną cześć i Jego serce topnieje, gdy Jego dziecko ufa Mu mimo bólu.

Chwała Panu za Joba, dla mnie to wspaniały przykład. Jeśli on mógł znieść tak wiele i wytrwać, to czym jest nasza utrata pracy albo zdrowia, czy jeszcze mniejsza błaża rzecz, jaka w naszym egoizmie oddala nas od Boga? Myślmy czasem, zgodnie z wolą szatana: „Bóg nie działa w moim życiu, jestem sam...” Pokory, uniżenia, skupienia i chęci nauki - tego nam trzeba w każdej przeciwności.



Ma doskonałą sylwetkę, którą utrzymuje bez wysiłku. Zawsze modnie ubrany, elegancki od stóp do głów. Pomimo tego, że z reguły stoi milczący, przyciąga zazdrosny wzrok wszystkich, którzy go mijają, ze względu na ciuchy, które są szyte jakby na niego i posiadają naszywki najlepszych firm. Można go spotkać w wielkich centrach handlowych, gdzie ze stoickim spokojem eksponuje swoje wdzięki. Nie protestuje, gdy dotykasz jakiejś części jego garderoby. Ot, po prostu rzecz by można - ideał. Kto to taki? Chyba łatwo się domyślić, ale zdradzę to na końcu.

W cywilizowanym świecie każdy człowiek korzysta z ubrania. Podejście do tej kwestii jest jednak bardzo indywidualne. Jedni nie przywiązują do tego zbyt wielkiej wagi, drudzy starają się ubierać modnie, stylowo i z gustem. Niektórym wystarczy skromny, schludny strój, inni precyzyjnie dobierają kolory i odcienie. Ta różnorodność, jakkolwiek by jej nie oceniać, sama w sobie jest piękna. Trudno przecież, choć były takie próby, ubrać cały naród w jednakowe uniformy.

Przyroda wokół nas też się stroi. Jesień to pora roku, która mieni się różnorodnymi barwami. Drzewa przybierają się w całą gamę zieleni, brązu, żółci i czerwieni. Styliści niejednokrotnie czerpią inspirację z jej bogactwa, ustanawiając nowe trendy i kierunki obowiązującej mody.

Problem zaczyna się w momencie, gdy decydujemy się na zakup nowej bluzki, sukienki, swetra, czy garnituru. Rychło okazuje się wtedy, że nie ma odpowiedniego rozmiaru, lub że fason, rodzaj materiału czy kolor kłóci się z naszym stylem. Zwykle bowiem, przeglądając się w sklepowym lustrze, zadajemy sobie pytanie: „Jak ja będę w tym wyglądać?“, „Gdzie będę mógł, mogła się w tym pokazać?“, a przede wszystkim: „Dlaczego to jest takie drogie?“. Mówi się, że u pań najlepszym sposobem na pozbycie się chandry i poprawienie sobie humoru jest kupno nowego ciuszka. Nie wiem, czy zawsze i jak długo to działa, niemniej jednak niewątpliwie można by to nazwać czymś w rodzaju autoterapii.

W ubieraniu się jest coś, co nas identyfikuje. Kogoś, kogo znamy, potrafimy po ubiorze rozpoznać z daleka. To on – mówimy – poznaję po czapce, albo wręcz przeciwnie: – Nie, to nie on. On nigdy się tak nie ubiera.



Na pełnię człowieka składa się duch, dusza i ciało. Czy troszcząc się o ciało, z taką samą dbałością przyodziewamy naszą duszę? Zapyta ktoś: „Jak to zrobić? Przecież dusza jest we mnie, w środku”. Do duchowych rzeczy, jak mówi nam Boże Słowo, przykładać należy duchową miarę. To znaczy, że istnieje również coś na wzór duchowej „garderoby”.

W Liście do Efezjan czytamy: *Zewleczcie z siebie starego człowieka wraz z jego poprzednim postępowaniem, którego gubią zwodnicze żądze i odnowcie się w duchu umysłu waszego, a obleczcie się w nowego człowieka, który jest stworzony według Boga w sprawiedliwości i świętości prawdy* (Ef 4,22-24).

Z własnego doświadczenia wiem, że tego rodzaju przebijanie się nie jest łatwą czynnością. Nieraz trudno jest zdecydować o pozbyciu się czegoś, co nosiłem tak długo, że stało się niemal moją drugą skórą. - Mam to wyrzucić? - Nie, jeszcze w tym trochę pochodzę. Chociaż już się pruje, bo dusza poruszona Bożym Duchem przestaje się mieścić w tym przyciasnym, starym ubranku, to jednak wciąż trudno zdecydować się na moment zupełnego obnażenia tak potrzebny, by przyodziać się w całkiem nowy strój. W efekcie takiego myślenia próbujemy niekiedy wkładać nowe ubranie, nie zdejmując starego. Jak na to reaguje nasza dusza? Zapewne nie jest jej wygodnie. A przecież najważniejsze, żeby to ona czuła się dobrze. Modlitwą apostoła Jana było, aby jego przyjacielowi powodziło się we wszystkim tak dobrze, jak powodzi się jego duszy. W liście skierowanym do Gajusa pisze: *Umiłowany! Modłę się o to, aby ci się we wszystkim dobrze powodziło i abys był zdrow tak, jak dobrze się ma dusza twoja* (3 J 1,2). Prorok Izajasz także wiąże radość i zadowolenie z faktem przyodziania duszy: *Bardzo się będę radował z Pana, weselić się będzie moja dusza z mojego Boga, gdyż obłókl mnie w szaty zbawienia, przyodził mnie płaszczem sprawiedliwości* (Iz 61,10).

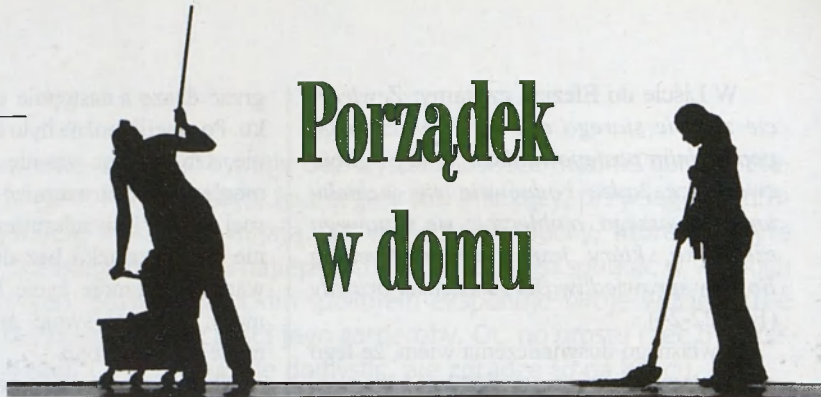
Z czasów dzieciństwa pamiętam przedmiot domowego użytku, jakim było żelazko z duszą. Tą duszą był kawałek metalu, przypominający kształtem żelazko, tylko trochę od niego mniejszy, który wkładało się z tyłu przez zamykany otwór do wnętrza żelazka. Chcąc go użyć, należało najpierw mocno roz-

grzać duszę a następnie umieścić ją w środku. Po chwili można było rozpocząć prasowanie. Obserwując zasadę działania żelazka, mogłem lepiej zrozumieć kwestię mojej własnej duszy. Uświadomiłem sobie, że podobnie jak to żelazko bez duszy nie jest wiele warte, tak i moje życie bez rozgrzewającej mocy, mającej swoje źródło w Bogu, nie może być spełnione.

Podczas swoistej prezentacji pierwszego z ośmiu synów Isajego, która kojarzy mi się z dzisiejszym pokazem mody, Samuel, mający namaścić jednego z nich na króla, uległ również pokusie oceniania kogoś po jego wyglądzie. Lecz *Pan rzekł do Samuela: Nie patrz na jego wygląd i na jego wysoki wzrost; nie uważam go za godnego, albowiem Bóg nie patrzy na to, na co patrzy człowiek. Człowiek patrzy na to, co jest przed oczyma, ale Pan patrzy na serce* (1 Sm 16,7).

Jednym brakuje wzrostu, innym smukłej sylwetki, a jeszcze innym, którzy być może mają i jedno i drugie, brakuje po prostu ubrania. Każdy z nas ma jakieś braki. Czasem chodzi o kupno nowej części garderoby, bo stara nam się znudziła, porwała lub wyszła z mody. Bez względu jednak na to, czy mamy na sobie najmodniejszy garnitur, czy stare sztruksy z powycieraną na łokciach i połataną marynarką, nasz Pan i tak bez problemu rozpozna, w co ubrana jest nasza dusza.

Może ci się wydawać, że twoje życie jest jak ten artykuł – bez tytułu, bez pięknych, ozdobnych, wykaligrafowanych liter, bez krzyczącego i przyciągającego uwagę nagłówka – ale wiedz, że Bóg patrzy głębiej. On wie, że tak naprawdę w artykule liczy się treść i to On właśnie potrafi wypełnić treścią twoje życie, nadając mu sens. Tą treścią jest nasza rozgrzana, rozpalona dusza, która ze wszystkich sił pragnie być przyodziana w Boga. To ona wnosi życie i tak przyozdobiona stanowi o prawdziwym pięknie człowieka. Bez niej nie nadaje się nawet na sklepowego manekina.



Porządek w domu

Czy wiedziałaś, że to ty jesteś dyrektorką w swoim domu? O, nie, nie miałam na myśli, że masz kierować swoim mężem! Bóg dał ci zadanie zarządzania domem i dbania o wszystkie sprawy z tym związane. W 1 Liście ap. Pawła do Tymoteusza 5,14 czytamy, że to kobieta ma zarządzać domem. Ten przywilej i ta odpowiedzialność są równie ważne, jak prowadzenie własnej działalności gospodarczej. Żaden biznes nie będzie prosperował, jeśli nie jest dobrze zarządzany. Tak samo jest z naszymi domami. Jak więc możemy zorganizować „plan biznesowy”, który pozwoli nam sprawnie i mądrze prowadzić dom?

Organizacja

Jedno z moich ulubionych powiedzonek brzmi: „Rzeczy same się nie dzieją. Trzeba zadbać o to, by sprawy nabrały tempa”. Nie licz na to, że wszystko w twoim domu będzie przebiegało płynnie, jeśli najpierw nie zadbasz o to, by to zaplanować. W każdym domu jest inaczej. Niektóre kobiety są bardzo zorganizowane, inne podchodzą do wszystkiego na luzie. Jednak bez względu na nasz temperament i charakter

musimy poświęcić czas na zaplanowanie spraw domowych.

Musisz zaplanować posiłki, tak aby mąż po powrocie z pracy miał obiad na stole, musisz zadbać o pranie i prasowanie. Oczywiście, zachęcam, by jak najczęściej angażować dzieci do poszczególnych zadań. Bo to, że jesteś odpowiedzialna za zarządzanie domem, nie oznacza, że jesteś niewolnicą. Twoje zadanie polega na odpowiednim zaplanowaniu i rozłożeniu obowiązków pomiędzy członków rodziny.

Masz małe dzieci? Dbaj o to, co niezbędne. Życie składa się z różnych etapów. Trzeba zawsze brać to pod uwagę. Może na tym etapie masz w domu niemowlaki lub nawet noworodka. W tym okresie niełatwo jest utrzymać standard, do którego się przyzwyczaiłaś. Staraj się zatem dbać tylko o to, co niezbędne. Powinnaś przygotowywać trzy pełnowartościowe posiłki dziennie. Poproś Pana o mądrość, jak to zrobić, aby nie zaniedbywać w tym czasie swoich maluchów. Może użyjesz jakiegoś specjalnego garnka, w którym możesz przez wiele godzin pomalutku dusić zarówno mięso jak i warzywa? To



pozwole ci wykorzystać czas dla marudzącego niemowlaka (co ma zazwyczaj miejsce późnym popołudniem, kiedy ma wrócić mąż i chcesz podać mu posiłek) i nie będziesz musiała się martwić, że nie zdążysz na czas.

Pilnuj brudnych rzeczy - pierz na bieżąco i dbaj, by naczynia nie zalegały w zlewie. Nie przejmuj się, jeśli dzieci rozrzucają zabawki w ciągu dnia, ale zanim mąż wróci z pracy, zabaw się z nimi w: „Raz, dwa, trzy, kto pierwszy zbierze więcej zabawek?”. Nawet najmniejsze dziecko lubi taką zabawę (choćby miało powrzucać wszystko byle jak do pojemnika), a dzięki temu dom będzie ogarnięty przed powrotem męża. Nie staraj się na siłę robić dodatkowych rzeczy.

Pamiętam, jak sama miałam troje dzieci poniżej 17 miesięcy, a potem czworo poniżej 4 lat. Marzyłam wtedy, by zmieniać świat na lepsze, ale musiałam siedzieć w domu i karmić maluchy. Teraz wiem, że te marzenia były cenne i ważne, tylko że przeznaczone na inny okres mojego życia. Na tamtym etapie, to, co robiłam, było najważniejsze.

Uważam, że jeśli jesteś w stanie karmić i wychowywać swoje maleństwa, jednocześnie dbając o podstawowy porządek w domu, to już wykonujesz superpracę. Nie musisz do listy obowiązków na tym etapie już nic dodawać. Kiedy siadasz na kanapie, by nakarmić swoje maleństwo, wtedy zazwyczaj zauważasz nieumyte okna czy popisane ściany.

Przymknij na to oko. Okna zawsze będą wymagały mycia, nawet za kilka lat, ale twoje dzieci już nigdy nie będą takie malutkie. Z pewnością dzieci są ważniejsze niż to czy okna i ściany lśnią czystością.

Wcześniej zacznij naukę. Ucz swoje dzieci, by jadły posiłki tylko przy stole w kuchni lub w jadalni. Nie pozwalam nikomu w moim domu - ani młodszemu ani starszemu - by wynosił jedzenie do innych pomieszczeń. Jeśli zgodzisz się na to, narażasz się na więcej bałaganu i co za tym idzie - więcej sprzątanía.

Zachęcaj dzieci, by pomagały w pracach domowych, nawet jeśli nie potrafią jeszcze wykonać ich tak dobrze, jakbyś sobie tego życzyła. Małe dzieci mogą już nakrywać, zmywać czy zamiatać podłogę, zbierać talerze ze stołu. Kiedy twoje córki staną się nastolatkami, powinny umieć prowadzić dom.

Kiedys co tydzień zmieniałam pościel każdemu dziecku. Teraz już tego nie robię. Doszłam do wniosku, że skoro dzieci kąpią się codziennie, to nie jest to konieczne i wystarczy, jak zrobię to raz na dwa tygodnie. Ile oszczędności pod każdym względem (prószek, woda, prąd, prasowanie), zwłaszcza, jeśli ma się kilkoro dzieci!

A co z prasowaniem? Zaczęłam prasować dwa razy w tygodniu. Kiedys prasowałam nawet poszewki na poduszki (mam przyjaciółkę, która prasuje ręczniki kuchenne!). Pomocy! Jak to robiłam, mając czwórkę dzieciaków poniżej 4 lat, a potem szóstkę? Teraz już tego nie robię. Staram się tak rozwieszać pranie, by mieć jak najmniej prasowania.

Pamiętaj, że masz dbać o czystość i porządek w swoim domu, ale to niekoniecznie oznacza, że musisz stale latać ze ścierką, zmęczona i przepracowana. Wykorzystuj czas na inne czynności, takie jak: czytanie dzieciom książek, wykonywanie z nimi różnych prac plastycznych itp. To wywrze na nie lepszy wpływ niż dbanie o to, by dom lśnił czystością.

Twoje dzieci są starsze? Wchodzisz w okres bycia królową! Jeśli dobrze przyuczyłaś swoje dzieci do prac domowych, gdy były młodsze, to teraz powinny bez problemu radzić sobie ze wszystkimi obowiązkami domowymi. Prawdę mówiąc, każdy członek rodziny powinien poczuwać się do odpowiedzialności, by dom był czysty i zadbane. Teraz nadchodzi dla ciebie czas nagrody za dobre wychowanie dzieci i poświęcenie im czasu, gdy były małe. Możesz teraz żyć jak królowa.

Rutynowe działanie

Działanie według ustalonego wcześniej porządku bardzo ułatwia utrzymanie porządku w domu. Oczekuję od wszystkich domowników, że będą gotowi przed śniadaniem. Mamy wspólny czas na rozważanie Słowa o 8.00 rano. Każdy, kto do tego czasu nie zdążył zjeść śniadania, musi się spodziewać, że już go potem nie dostanie. Po wspólnej modlitwie rozchodzimy się do swoich zajęć. Lunch i obiad też mamy zawsze o tej samej, ustalonej porze. Czuję narastającą irytację, gdy słyszę, jak matki opowiadają, że ich nastoletnie dzieci wstają, kiedy chcą. Takie wychowanie z pewnością nie przygotowuje ich do dorosłego życia. Nie będą przygotowani, aby wcześniej wstawać do pracy, a ich córki nie będą umiały dobrze zarządzać domem. Dzieci powinny być uczone wstawania o jednakowej porze. Dzień jest przeznaczony na pracę i przygody, a noc na spanie!

Oczywiście, wiem, że dzieci potrzebują odpowiedniej dawki snu, ale jeśli rano czują się niewyspane, to oznacza, że za późno kładą się spać. Może jestem staroświecka, ale nadal wierzę, że przysłowie: „Kto wcześniej wstaje,

temu Pan Bóg daje” ma rację bytu. Nie jestem natomiast aż taką legalistką, żeby nie pozwolić nikomu dłużej poleżeć, gdy ma wolną sobotę.



Nawet jeśli lubimy poukładany i systematyczny styl życia, musimy też być czasami elastyczni. Jeśli ma miejsce coś szczególnego, ktoś nas odwiedza lub musimy gdzieś wyjść, to nie musimy trzymać się kurczowo wyznaczonych godzin posiłków czy planu zajęć.

Potrzebujemy też czasu na rekreację czy spotkania towarzyskie.

Dyscyplina

Porządek może istnieć jedynie wtedy, gdy jesteśmy zdyscyplinowani - najpierw my, dorośli, a potem nasze dzieci. Podobnie jak nasze dzieci, musimy dbać o to, by kłaść się o przyzwoitej porze, aby rano nadażyć ze wszystkimi obowiązkami związanymi z codziennym życiem: przygotować śniadanie, włączyć pralkę, wyprawić dzieci do szkoły.

Jednym z moich sposobów na zdyscyplinowanie rodziny jest wyznaczenie piątków na dzień poświęcony sprzątaniam. W każdy piątek sprzątam dom z góry do dołu. Angażuję do tego zajęcia wszystkich członków rodziny. Robię listę czynności, jakie mają być wykonane w danym pomieszczeniu i ustalę osobę odpowiedzialną za ich wykonanie. W tym dniu, oprócz sprzątania sypialni, czyścimy też łazienki, toalety, odkurzamy, myjemy okna, lustra, czyścimy plamy na dywanach itp. Staram się także umyć lodówkę i wysprzątać co najmniej jedną szafkę w kuchni. Nie sprzątam wszystkich naraz, ale jedną tygodniowo.

Zachęcanie

Prowadź dom w sposób płynny, uporządkowany - łatwiej powiedzieć niż zrobić! Dzieciaki często się ociągają, narzekają i marudzą. Ale czasami jest tak, że i one mają dość twojego narzekania. Staraj się je zachęcać swoimi słowami. Jeśli masz małe dzieci, to czasami dobrze jest użyć przysłowiowej „marchewki”, aby je zachęcić do współpracy. Musisz być pomysłowa i kreatywna, jeśli chcesz jak najwięcej „wydusić” ze swojej rodziny. Może powiesz na lodówce listę, na której będziesz naklejać gwiazdki przy imieniu dziecka, które bez marudzenia zrobi to, o co je poprosisz. To, które zdobędzie najwięcej gwiazdek, na koniec tygodnia otrzyma nagrodę. W ten sposób dzieci nauczą się pozytywnych zachowań, a wyeliminują te, które są niewłaściwe.

Nie poddawaj się

Nie poddawaj się? Czemu? Mam tu na myśli nieuleganie obojętności i lekceważeniu, jakie może występować u twoich dzieci, zwłaszcza nastolatków. One z natury są leniwe. Będą płatać się po domu, zamiast zrobić, co do nich należy. Nie poddawaj się! Trzymaj się swojego planu. Tak długo kontynuuj ustalone działania, aż staną się przyzwyczajeniem i częścią życia twojej rodziny. Przyzwyczajaj-



nie dzieci i nauczenie ich różnych zasad wcale nie dzieje się od razu. Potrzeba na to czasu i wytrwałości, dlatego zachęcam, abyś się nie poddawała.

Życie rodzinne powinno być szczęśliwe i radosne. Prawdę mówiąc, posiadanie dzieci, które są niezdyscyplinowane i nieposłuszne, wcale nie jest przyjemnością. Czasami nie chce się rano wstawać na myśl o tym, co nas znowu czeka. Aby zatem cieszyć się życiem w późniejszym okresie, musisz uczyć swoje dzieci zdyscyplinowania, posłuszeństwa i szacunku już we wczesnym dzieciństwie. Bez tego fundamentu nie będzie porządku w twoim domu.

Bez względu na cenę, musisz nauczyć dzieci posłuszeństwa. Nie zrobisz tego jednak będąc stale niezadowolona i zła. Upewnij się, że na pewno zrozumiały, o co je prosisz i po cichu egzekwuj swoje polecenia. Jeśli są nieposłuszne lub ociągają się z wykonaniem zadania, dyscyplinuj je zgodnie z tym, co Bóg zalecił w swoim Słowie, a nie tak, jak sugeruje dzisiejszy, humanistyczny system wychowania.

Wtedy zamiast zwlekać ze wstaniem skoro świt, będziesz z radością wyskakiwać rano z łóżka, aby przywitać kolejny dzień. Nigdy nie zapominaj, że to ty zarządzasz swoim domem. Jesteś kierowniczką, a nie niewolnicą.



Ciąża zagrożona

19 października 1999 roku otrzymałam potwierdzenie od lekarza, że jestem w ciąży. Byłam tak szczęśliwa, że nie mogłam powstrzymać łez wzruszenia. W okresie Świąt Bożego Narodzenia ciąża zaczęła być widoczna, a ja zaczęłam odczuwać delikatne ruchy dziecka. W tym czasie byłam też w szpitalu na badaniu okresowym z powodu kamieni w nerkach i po raz pierwszy mogłam przy tej okazji usłyszeć bicie serca mojego dziecka.

Cieszyła mnie myśl, że zostanę mamą. Każdy moment i wydarzenie związane z ciążą przechowuję w swojej pamięci. 15 lutego 2000 roku poszłam z moim starszym synem, Damianem, na pierwsze badanie USG. Początkowo było dużo żartów i śmiechu, bo lekarz próbował przekazać mi „między wierszami”, że to będzie chłopczyk. Chcieliśmy ukryć ten fakt przed starszym synem. Niespodziewanie jednak dwóch radiologów zamilkło i szybko wyszli z gabinetu.

Od razu wyczułam, że coś musi być nie tak. Powrócili z innym lekarzem, a po chwili pokój był pełen ludzi. Zaczęłam panikować i rozpłakałam się. Czy coś było nie tak z moim dzieckiem?

Nigdy nie czujesz się tak samotna, jak w momencie, gdy lekarz przedstawia ci diagnozę, która zmienia twoje życie i życie twojej rodziny już na zawsze. Lekarz powiedział, że moje dziecko ma całkowity AV kanał (wspólny kanał przedsionkowo-komorowy serca), który był tak poważną wadą, że szanse na utrzymanie ciąży były nikłe. Potem wymienił jeszcze sześć innych wad, które dokładnie pasowały do opisu zespołu Downa. Zasugerowano mi dokonanie natychmiastowej aborcji, a dokumenty z datą i godziną planowanego zabiegu położono do podpisania na stoliku obok. Wyrzuciłam je w drodze do wyjścia, kiedy opuszczałam szpital.

Wybrałam dla mojego synka imiona Jozue Elliot, które oznaczały „uratowany przez Boga” oraz „Pan jest Bogiem”, dlatego że

uważałam, że mój synek tego właśnie będzie najbardziej potrzebował w swoim życiu.

W niedługim czasie lekarze zalecili mi wykonanie amniocentezy (amniocenteza diagnostyczna jest metodą badania kobiety w ciąży, podczas którego nakłuwa się jamę owodni w macicy i pobiera próbkę płynu owodniowego w celu przeprowadzenia dalszych badań laboratoryjnych. Płyn owodniowy zawiera komórki płodu oraz substancje chemiczne przez niego produkowane, dzięki którym badana próbka może dać informacje o nieprawidłowościach i chorobach dziecka, w tym o zespole Downa i rozszczepie kręgosłupa) oraz dokładniejszego USG przy udziale kardiologa. Nie zgodziłam się na amniocentezę, bo miała jedynie potwierdzić zespół Downa, a dla mnie nie miało to znaczenia. Według mnie, aborcja jest odebraniem życia, a w przypadku zespołu Downa, życia mniej doskonałego z medycznego punktu widzenia.

Kardiolog potwierdził, że aorta w sercu mojego synka jest zamknięta. Powiedział, że być może donoszę go do końca ciąży, bo moje serce utrzymywało go przy życiu, ale kiedy się urodzi, najprawdopodobniej go stracę. Jeśli nie umrze zaraz po porodzie, to będzie musiał być natychmiast operowany. Wtedy, być może, uda się go uratować.

Szpital posłał mnie do doradcy genetycznego, ponieważ nie zgodziłam się na amniocentezę. Niestety, choć pani posiadała dużą wiedzę, były to jedynie informacje o tym, co złego może mnie spotkać. Nie chodziło jej o dobro dziecka, starała się mnie doprowadzić po raz kolejny do decyzji, by usunąć ciążę. Sugerowała, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli dziecko wcale się nie urodzi. Zapewniała, że to nie jest moja wina i że powinnam skorzystać z tej propozycji.

Odeszłam z pracy, aby trwać w pozytywnym nastawieniu. To, co powinno stanowić dla kobiety najpiękniejszy okres (przed narodzeniem dziecka), dla mnie było udręką.

Wzruszające chwile, gdy dziecko kopało w moim brzuchu, były otoczone smutkiem i strachem. Czekałam na jego narodziny, aby w końcu móc go przytulić, a jednocześnie bałam się, że będzie to początek jego końca.

Płakałam po nocach i nikt nie chciał zrozumieć, dlaczego tak uparłam się, aby utrzymać tę ciążę. Nie miałam wsparcia i zrozumienia u najbliższych, nawet w rodzinie. Wiedziałam jedno: to jest mój syn, wierzyłam, że jest darem od Boga i to On zdecyduje o jego dalszym losie.

20 maja, podczas meczu piłki nożnej, na który pojechałam z moim starszym synem, poczułam silny ból. Początkowo myślałam, że to kamienie w nerkach, które podczas ciąży często przypominały o sobie, więc zupełnie go zignorowałam, zajmując się po powrocie do domu normalnymi obowiązkami, a nawet pracą w ogródku. Po obiedzie zagrałam z synem w grę planszową, a potem położyłam się do łóżka. Leżąc na włączonym kocu elektrycznym, zastanawiałam się, co by było, gdyby odeszły mi wody. Odwróciłam się, by go wyłączyć z prądu, gdy poczułam, że mam mokre nogi. Szybko zdjęłam prześcieradło, zadzwoniłam po kogoś, żeby zawiózł mnie do szpitala oraz powiadomiłam szpital, że jestem w drodze.

Nie mogłam skorzystać z żadnych leków ze względu na złą kondycję serca mojego dziecka, a na noc zapięto dwa pasy na mój brzuch, dzie-

ki czemu monitorowano skurcze i bicie serca maleństwa. Byłam zlepkiem różnych - przeciwstawnych emocji: radości i strachu.

Następnego dnia, czyli 21 maja 2000 roku (sześć tygodni wcześniej niż planowano), Jozue przyszedł na świat. Ważył około 2 kg. Podczas jego narodzin panowała przeraźliwa cisza. Nie płakał, był spokojny i miał okropny kolor skóry. Zaczęłam panikować, gdy nagle wydał z siebie cichutkie pisknięcie, jakby mała myszka. Zdażyłam zaledwie delikatnie go pogłaskać i szybko zabrano go na oddział intensywnej terapii. Zrobiono mu badania chromosomów. Wyniki potwierdziły wcześniejszą diagnozę: ma zespół Downa. Pozostałe przypuszczenia lekarzy także się potwierdziły. Kiedy Jozue się urodził, nikt nie powiedział, co zwykle się mówi, że jest śliczny... Był tylko statystyką, ciekawym przypadkiem medycznym.

Przebywanie na oddziale położniczym było szczególnie trudne. Otaczali mnie szczęśliwi rodzice, którzy zachwycali się swoimi maleństwami, tulili je, otrzymywali kwiaty i prezenty. Do mnie nikt nie przyszedł ani nie przesłał upominku. Jeśli już ktoś się odezwał, to tylko po to, by powiedzieć, jak mu przykro, że coś takiego mnie spotkało. Wszyscy zachowywali się tak, jakbym była w żałobie. Próbowaliśmy karmić synka piersią, ale był za słaby. Po dwóch dniach musiałam wyjść do domu, zostawiając maluszka w szpitalu. Było mi z tym bardzo ciężko. Czułam się tak, jakby połowa mojego serca została razem z nim. Tak trudno było mi wyjść ze szpitala z pustymi rękami.

24 maja w nocy zadzwoniono ze szpitala i dowiedziałam się, że Jozue ma być przewieziony helikopterem do Brisbane, ale lekarze obawiali się, że tego nie przeżyje. Najszybciej jak mogłam, dotarłam do szpitala. Zobaczyłam synka z brzuszkiem ogromnym jak piłka. Z jego ciała wychodziło mnóstwo rurek. Okazało się, że jego jelita nie pracowały



i z tego powodu jego serce również było zagrożone. Na dodatek pogoda była na tyle zła, że helikopter odwołał swój przylot i musieliśmy czekać na karetkę.

Jechaliśmy z moim tatą za karetką, a moja mama i starszy syn, Damian, drugim samochodem wrócili do domu. W momencie, gdy się rozdzielaliśmy, czułam się tak, jakby moje serce rozdierało się na pół. Do tej pory nigdy nic nie rozdzielało mnie ze starszym synem.

Kolejne sześć miesięcy Jozue spędził w szpitalach, a jego życie często „wisiało na włosku”. Lekarze wielokrotnie sugerowali mi, że lepiej będzie, jak zgodzę się odłączyć utrzymujące go przy życiu urządzenia. Nawet rodzina mnie do tego zachęcała. Nie chciałam przyjąć tego do wiadomości. Mój synek zaskakiwał wszystkich, przeżywając każdy kolejny dzień, a po czterech operacjach w końcu zawitał w domu.

Jozue ma dzisiaj 11 lat i jestem szczęśliwa, że mogę prowadzić z nim w domu indywidualne nauczanie. Jest światelkiem mojego

życia pomimo wielu problemów i ograniczeń zdrowotnych. Razem, w różnych szkołach, prowadzimy prelekcje na temat radzenia sobie z niepełnosprawnością.

Dwa lata temu zrobiono film z jego udziałem, po to, by pokazać innym, że niepełnosprawni też mogą prowadzić szczęśliwe życie i że należy przełamywać bariery i stereotypy związane z zespołem Downa.

Niestety, serce i płuca Jozuego stale ulegają degradacji, i jest mu coraz trudniej przetrwać okres zimowy, ale każdego roku mu się to udaje. Wierzę, że Bóg ma wspaniały plan dla mojego synka i już nie mogę się doczekać, by go odkryć. Kim jesteśmy, by mówić Bogu, co On ma robić?

PS.

Mąż Toni opuścił ją, gdy zaszła w ciążę z Jozuem.

„Boże prezenty nie zawsze przychodzą w opakowaniach, w jakich się ich spodziewamy”.

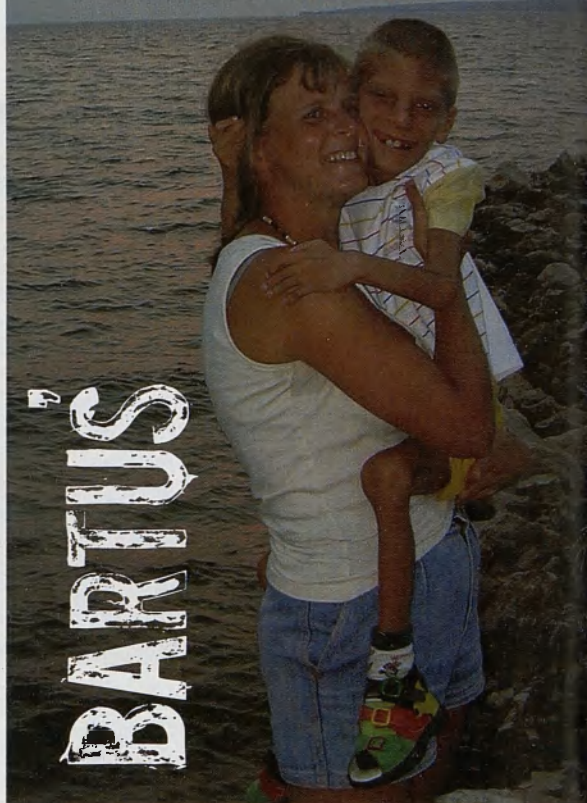
„Noworodek musi być przewieziony na klinikę” - usłyszałam kilka godzin po urodzeniu naszego wyczekiwanego, kochanego syna. Wraz z mężem stanęliśmy obok inkubatora i modliliśmy się, powierzając dziecko w ręce Wszechmocnego Boga. Niestety, nie mogłam pojechać razem z nim. Szok, rozpacz, ból, poczucie zawodu i niespełnionych marzeń... Przecież tak marzyliśmy o zdrowym dziecku...

Kiedy wróciłam do domu, w miejsce, gdzie miał leżeć mój dzidzius, włożyłam kartkę z wersem: Pan ochroną życia mego. Razem z dwójką starszych dzieci, z rodziną i zborem modliliśmy się o jego uzdrowienie.

Pierwsze miesiące życia to walka i wyczekiwanie. Podróż 80 km na klinikę tam i z powrotem kilka razy w tygodniu, zespół wad wrodzonych, brak fizjologicznych odruchów, sepsa, odciąganie pokarmu, brak odruchu ssania i próby karmienia piersią, brak przyrostu wagi ciała, to tylko część naszych zmagañ.

Słyszeliśmy od lekarzy: „Nie będzie długo żył, proszę się nie przywiązywać i nie odciągać pokarmu, te dzieci najczęściej umierają w pierwszych miesiącach życia”. Ale syn przeżył, bo Bóg tak chciał.

Po przywiezieniu syna z kliniki do domu pojawiło się wiele problemów związanych



z jego pielęgnacją, rehabilitacją i leczeniem. Wyjeżdżałam na liczne konsultacje lekarskie, na rehabilitacje kilka razy w tygodniu, rehabilitowałam Bartka w domu kilka razy dziennie. W tym wszystkim mogłam oglądać wiele wysłuchanych modlitw i cudów, mimo że ciągle nie rozwijał się prawidłowo.

Jednym z cudów był fakt, że karmiłam go piersią przez 9 miesięcy, chociaż dziecko nie miało odruchu ssania. Innym było uzdrowienie z zakażenia dróg moczowych.

Pamiętam, kiedy po trzech ciężkich miesiącach przyszedł kolejny problem i okazało się, że mój mąż, nie przybierający na wadze

syn, ma ropne zakażenie dróg moczowych. Pomyślałam wtedy: „O nie. Kolejny raz, antybiotyki, zastrzyki?”. Przewijając dziecko w łazience, zdesperowana wołałam: „Panie, dotknij go, proszę, my nic nie potrafimy zrobić, ale Ty tak!”. I On odpowiedział, odpowiedział natychmiast. Następnego dnia wszystkie objawy ustąpiły i nie pojawiły się do dziś, mimo ciągłej konieczności używania pampersów. Jednak opóźnienie w rozwoju mojego dziecka ciągle było znaczne.

Niepełnosprawność syna widać na pierwszy rzut oka. Obecnie Bartek ma 16 lat. Nie rozwija się prawidłowo, jest niezdolny do samodzielnej egzystencji. Nie siedzi bez podparcia, nie chodzi, nie mówi, nie je samodzielnie i musi być karmiony rozdrobnionym pokarmem, nie sygnalizuje potrzeb fizjologicznych, nie chodzi do szkoły, a obowiązek szkolny realizuje w Ośrodku Rehabilitacyjno-Edukacyjno-Wychowawczym, gdzie uczestniczy w zajęciach rewalidacyjnych.

Oto dzieci są darem Pana. Panie, czy te słowa dotyczą także mojego niepełnosprawnego w znacznym stopniu syna? Ty zawsze dajesz dobre dary, czy wolno mi w to wątpić? Po wielu modlitwach i pytaniach: „Boże, dlaczego?”, wraz z mężem i dwójką starszych dzieci postanowiliśmy normalnie żyć. Pracę, służbę dla Boga, spotkania ze znajomymi, wypoczynek wplatamy między rehabilitację i opiekę nad niepełnosprawnym synem. Zrozumielśmy, że Pan nas stawia w tym miejscu i teraz możemy pomagać innym rodzicom dzieci niepełnosprawnych, tym, którzy tej pomocy potrzebują, możemy służyć radą, doświadczeniem i pomocą.

Wcale nie było łatwo i dalej nie jest, ale wszystko mogę w tym, który mnie wzmacnia, w Chrystusie. Różne są

reakcje ludzi. Jedni patrzą z politowaniem, inni z odrazą, kolejni uśmiechają się dobrotliwie. Są też tacy, którzy zdają się nie zauważać upośledzenia. Dlatego wychodzę z dzieckiem, gdzie się tylko da, na ile czas pozwala. Oswajam go z otoczeniem, siebie ze spojrzeniami innych i świat z nami.

Niepełnosprawność dziecka to dramat dla wielu rodziców, może czasem wstyd, często strach. Obawa, jak to będzie, dotyka nas każdego dnia. Jednak najistotniejsze jest to, co mówi Boże Słowo: Wszelką troskę swoją złączcie na niego, gdyż On ma o was staranie. Dlatego nie rezygnujemy z tego, co planowaliśmy przed narodzinami. Bartuś miał być wożony w pięknym wózekczku i ciągle jest (już od 16 lat). Kupiłam synowi małą gitarę, organy, odtwarzacz i słuchamy nabożeństw, koncertów. Tylko nie dał rady nauczyć się gry na saksofonie...

Miałam wrócić do pracy i wróciłam. Nie ma powodów, by zamykać się z dzieckiem w domu. Bóg zatroszczył się o nas i od pewnego czasu mamy opiekunkę, żebyśmy mogli odpocząć lub spokojnie iść do zboru. Poznają Boga i Jego łaskę codziennie na nowo i takiego Ojca pokazują Bartkowi. Chronię go, tak jak każda matka chroni swoje dziecko, gdyż taką ochronę mam zapewnioną w Bożym Słowie: Piórami swymi okryje cię, a pod skrzydłami jego znajdziesz schronienie!

Droga czytelniczko! Może życie twoje i twojej rodziny nie układa się tak, jak chciałaś i planowałaś. Ale pamiętaj, Bóg nigdy nie daje czegoś, co nie miałoby dobrego celu dla człowieka.

Z wiarą i nadzieją patrzymy w przyszłość

Rozwesel nas w zamian za dni,
gdyś nas utrapił, za lata,
w których oglądaliśmy niedzielę!
(Ps 90,15)

Był poniedziałek, 10 marca 2008 roku. Piękny, słoneczny dzień. Nasz syn Paweł (lat 29) pojechał zarejestrować motocykl. Miał odpowiedni ubiór, jechał z dozwoloną prędkością, motor był nowy, na dotarciu. Ale na podwójnej ciągłej, na drodze krajowej starszy kierowca postanowił zawrócić. Kiedy dostawczy Ford Transit stał w poprzek całego pasa ruchu (miał 5 metrów długości), Paweł nadjechał zza wzniesienia. Nie miał szans na uniknięcie zderzenia i w konsekwencji doznał ciężkiego urazu czaszkowo-mózgowego, złamania miednicy w prawym stawie biodrowym i skomplikowanych złamań nadgarstka lewej ręki.



Trzydzieści dni patrzyliśmy na leżącego z zamkniętymi oczami, bez ruchu, podłączonego do respiratora i monitora. Przez dwa tygodnie utrzymywano go w stanie śpiączki farmakologicznej ze względu na obrzęk mózgu i brak możliwości pomocy neurochirurgicznej. Pojawiło się pytanie, czy przeżyje.

Dopiero po miesiącu w innym szpitalu wykonano konieczne operacje miednicy i ręki. Dni, miesiące, a teraz już i lata upływają Pawłowi na pobytach w szpitalach i klinikach.

Czujemy ogromną wdzięczność wobec wszystkich, którzy włączyli się do modlitw o Pawła. Jego żona, krucha i delikatna dziewczyna, okazała się dzielną niewiastą. Z wielką determinacją rozpoczęła walkę o życie i zdrowie Pawła. Z min lekarzy można było odczytać, co myślą o szansach syna na przeżycie. Sugerowali, byśmy czynili starania o miejsce w hospicjum. Z ich opinii wynikało, że nie poradzimy sobie w domu z opieką nad nim. Synowa jednak cierpliwie i wytrwale kompletowała wszystko, co było mu niezbędne do funkcjonowania w warunkach domowych.

Opieka nad wypisanym do domu z rurką tracheotomią (konieczność odsysania), rurką PEG do karmienia (przeszkórna endoskopowa gastrostomia), cewnikiem, szczękociśkiem, zaciśniętymi kolanami (co okazało się po pięciu miesiącach bolesnym zwicnięciem stawu biodrowego) nie była łatwa, zwłaszcza dla nas, nowicjuszy. Skorzystanie ze szpitala rehabilitacji specjalistycznej uniemożliwił czterokrotnie przekroczony poziom białka C-

-reaktywnego (CRP). Dużą zachętą była dla nas konsultacja prywatna u profesora w Bydgoszczy. Stosowanie zaleconych ćwiczeń doprowadziło syna do przejścia w stan śpiączki czuwającej, który trwa do dziś.

Wszelkie potrzebne zabiegi należało opłacać bez pomocy NFZ (np. pompa baklofenowa, leczenie dużych odleżyn, lekarstwa, rehabilitacja, transport). Nie wymienimy osób, które okazały nam praktyczną pomoc podczas pobytów szpitalnych. Z wieloma mamy kontakt, ciągle są z nami i to jest źródłem radości i impulsem do wdzięczności. Kiedyś w szczegółach opiszemy, jak wspierał nas zbór i nadal to czyni przez modlitwy, praktyczną pomoc i okazywanie miłości. W „Śpiewniku Pielgrzyma” jest pieśń: „Czym oaza w pustyni, schronisko wśród gór, tym dla duszy w tym świecie jest zbór”. Nic dodać, nic ująć...

W kwietniu 2010 r. zdecydowaliśmy się zabrać syna do naszego mieszkania. Dojazdy z gotowanymi posiłkami i pomoc pochłaniały dużo czasu, dlatego należało coś zmienić. Paweł coraz lepiej wyglądał, nabierał ciała i uznaliśmy, że dla wszystkich będzie lepiej i praktyczniej mieć go u siebie. W nocy trzeba mu 2-3 razy zmieniać pozycję, co nie sprawia nam żadnej trudności. Rozmieszczenie wózka, fotela, stołu do pionizacji jest łatwiejsze, dogodniejsze. Nawet przestronna klatka schodowa ułatwia ułożenie na noszach, kiedy (zwłaszcza w zimie) trzeba z Pawłem pojechać na napełnianie pompy baklofenowej.

Nasze życie dzielimy odtąd na dwa sezony: letni i zimowy. Letni spędzamy na wsi, a zimowy w mieście. Dom na wsi ma zrobione podjazdy dla ułatwienia poruszania się na wózku. Tam syn korzysta z codziennych spacerów, a, co najważniejsze, żywienie oparte jest na naturalnej żywności, bo uprawiamy warzywa. Jak sobie radzimy? Jedyne dzięki ogromnej Bożej łasce i miłosierdziu możemy każdego dnia sprawować opiekę nad synem.

Jeśli ktokolwiek może rozpocząć dzień polegając wyłącznie na sobie, to u nas jest zupełnie odwrotnie: wykonanie każdej potrzebnej czynności zawdzięczamy Panu.

Paweł nie mówi, ma bezwładne ręce i nogi, nie jest w stanie utrzymać głowy. Odkrywamy, odgadujemy jego potrzeby. Staramy się, by miał w miarę normalny dzień. Rano ubieranie, mycie, posadzenie na fotel. Każdy posiłek musi być zmiksowany, podany strzykawką a częściowo łyżką, pojenie specjalnym kubkiem. Później rehabilitacja na stole pionizacyjnym przez fizjoterapeutę (to w czasie letnim), a potem sami przygotowujemy i wykonujemy pionizację przez 2,5 do 3 godzin. W prze-

rwach na odpoczynek podajemy płyny. Po zakończeniu znowu przeniesienie ze stołu na fotel, karmienie, picie i odpoczynek na wersalce z materacem pneumatycznym zmiennociśnieniowym. Z kolei spacer na wózku (kolejny trudny transfer), aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Staramy się, aby za długo nie siedział czy leżał. Wieczorem, wiadomo: karmienie, pojenie, toaleta i ułożenie do snu: podłożenie pod ręce, między nogi, podparcie każdej stopy przed opadaniem.

Kiedyś mocno skaleczyłam palec wskazujący, spuszczać nieostroźnie podpórki stóp. Nikt nie chciał mi dać zwolnienia lekarskiego, ale dzięki wytrwałej pomocy męża i miłości



**Błogostawiony niech będzie Pan!
Codziennie dźwiga ciężary nasze Bóg, zbawienie nasze. (Ps 68,20)**

Bożej mogliśmy wykonywać codziennie wszystkie konieczne czynności. Prawdą jest, że mamy różne dni (pod względem dyspozycji): czasami coś niedomaga, bo ten nasz 'namiot' zużywa się i to daje znać o sobie. Ale dzięki modlitwom naszych sióstr i braci Bóg przychodzi z pomocą.

Tej zimy podczas podróży naderwałam więzadła w kolanie. Nie było mowy, by stanąć na nogę. Trudny egzamin, ale synowie pomagali w pierwszych dniach. Najtrudniejsza była kąpiel, przenoszenie Pawła do łazienki i z powrotem. Straszono mnie, że trzeba będzie długo czekać na poprawę. Zakładałam ortezę i jest dobrze. Każdego dnia przy podnoszeniu odczuwamy Bożą pomoc.

Ogromna łaska, że Pan zachował nas oboje z mężem. Jedna osoba nie jest w stanie sprawować tej opieki. Dlatego pragniemy być sprawni, aż Paweł będzie samodzielny. Tego pragniemy dla niego, żony i dla wszystkich tych, którzy wytrwale modlą się o niego.

Mamy marzenie, aby kiedy Pan uzdrowi Pawła, napisać dokładnie o wszelkich zmaganiach i przeżyciach. W ciągu tych czterech lat mamy tę łaskę, że nie jesteśmy pozbawieni nadziei.

Ufamy, że przyjdzie dzień wielkiej radości. Teraz cięższe się i jestem szczęśliwą matką, bo mogę opiekować się swoim dzieckiem. Nic mnie nie zniechęca. Czy to nie cudowne, że mamy Boże Słowo, a w nim tyle wspaniałych obietnic, napomnień i zachęt?

Anioł Pański zakłada obóz wokół tych, którzy się Go boją i ratuje ich. Skosztujcie i zobaczcie, że dobry jest Pan: Błogosławiony człowiek, który u Niego szuka schronienia (Ps 34,8-9). Bóg jest dobry. Czas spędzony na modlitwie i lekturze Słowa to ładowanie duchowe. Przed moim Ojcem w niebie mogę się wyplakać, wszystko Mu powiedzieć i wstać wzmocniona. Żadne karanie nie wydaje się chwilowo przyjemne, lecz bolesne, później jednak wydaje błogi owoc sprawiedliwości tym, którzy przez nie zostali wyćwiczeni. Dlatego opadłe ręce i omdlałe kolana znowu wyprostujcie (Hbr 12,11-12).

Jak sobie radzę, patrząc na dziecko, kiedyś sprawne i samodzielne, chętnie pomagające innym a teraz zupełnie bezradne, zdane całkowicie na naszą pomoc? Mam różne nastroje. Kiedy ogarnia mnie głęboki smutek, zaraz uciekam do Bożego Słowa, tam szukam i znajduję pocieszenie. Mówię Mu o wszystkim, co mi serce dyktuje, płacząc i doznając pocieszenia i wzmocnienia. Pociesza mnie świadomość, że Bóg jest miłością, kocha swoje stworzenie i pragnie dobra dla swoich synów i córek. Liczę Boże błogosławieństwa, bo każdego dnia jesteśmy czymś obdarowywani. Pomaga też świadomość, że ktoś pamięta o nas, że wiele ludzi z różnych stron daje nam dowody miłości i pamięci (rozmowy telefoniczne, maile, listy).

Pragniemy nawiązać kontakt z kimś, kto zмага się z podobnym stanem. Jesteśmy otwarci na korekty swojego zrozumienia i praktycznego podejścia, świadomi tego, że popełnialiśmy i nadal popełniamy błędy. Po jakimś czasie od wypadku miała miejsce modlitwa z pomazaniem oliwą w Imieniu Pańskim zgodnie z zaleceniem Listu Jakuba 5,14-15. Prosimy Boga, by przygotował i skierował do Pawła osobę usługującą darem uzdrawiania. Mocno trzymamy się Bożych obietnic. Za wszystko niech będzie Panu naszemu oddana chwała!

WOLONTARIUSZE w Ugandzie

W 2011 r. kilkoro wolontariuszy z Polski przebywało dłuższy czas w Ugandzie. Poniżej zamieszczamy refleksje z ich pobytu.

ELA

(grudzień 2010 - lipiec 2011)

We wrześniu 2010 r. przeżywałam trudne chwile w życiu. Moje osobiste problemy sprawiły, że zbliżyłam się do Boga. Moją sytuację dobrze odzwierciedlało stare przysłowie: „Jak trwoga, to do Boga”. To był czas, w którym potrafiłam wieczorami z desperacją szukać Bożej woli odnośnie moich decyzji. Pytałam Boga, jaki ma dla mnie plan. Nie wiedziałam, co dalej robić. Jestem marzycielką, więc byłam rozczarowana, dlaczego Bóg nie realizuje moich planów. Byłam tak zdesperowana, że niemal nie chciało mi się rano wstawać z łóżka.



Codziennie w modlitwie błagałam, aby otworzyły się jakieś drzwi, bym była użyteczna dla Boga. Na ile znam Ducha Świętego

i Jego delikatny cichy głos, najpierw musiał zrobić porządek z moim charakterem i motywacjami, aby potem mógł mnie użyć. Zwróciłam się o pomoc, poradę i prowadzenie do Boga, aby działa się Jego wola, a nie moja. I właśnie wtedy zaczęła się dla mnie wielka przygoda w Ugandzie.

Zawsze, odkąd pamiętam, pragnęłam wyjechać na misję. Prawdziwą misję, daleko od rodziny, od domu, w nieznaną, tylko by głosić Boże Słowo i dobrą nowinę o Jezusie. Takie niespodzianki mogą zdarzyć się tylko z niebiańskim Ojcem, który zna nasze najgłębsze pragnienia oraz przenika motywacje i oczekiwania naszego serca, który słyszy szept, widzi łzy i krzyk naszej duszy. Bóg pokierował wszystkim, a ja, ufając Mu, zostałam przez Niego poprowadzona krok po kroku w kwestiach finansowych, zdrowotnych, czy też w innych sprawach, abym w grudniu 2010 mogła zacząć się pakować na wyprawę swojego życia. Bóg wysłał mnie na drugi koniec świata, do Afryki, do Ugandy, a dokładnie do małej i pięknej wioski nazwanej Kasiina Muyenga. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, jak bardzo ten wyjazd zmieni moje spojrzenie na życie i sprawy duchowe. Niczego nie żałuję i pojechałabym tam kolejny raz, i jeśli Pan Bóg pozwoli, chciałabym tam wrócić.

Z Honoratą i Piotrem Wąsowskimi spotkałam się dopiero w Ugandzie, choć wcześniej mieliśmy ze sobą kontakt. Dziękuję Panu Bogu, że dał mi tak wspaniałych przyjaciół! Spędziłam w Ugandzie siedem miesięcy, mieszkając niedaleko domu dziecka „Mama Martyna House” w Kasiinie i nie zamieniła-

bym ani jednego dnia za tamte. Dzieci pokochałam od samego początku. Przede wszystkim uczyłam w chrześcijańskiej szkole „Króla Dawida”, założonej dzięki darczyńcom z Polski. Przeprowadziliśmy też w grudniu Gwiazdkową Niespodziankę dla dzieci z Kasiiny i Kyenjojo. Organizowaliśmy ewangelizacje dla dzieci. Wraz z Ugandyjczykami głosiłam ewangelię, chodząc od drzwi do drzwi w wioskach. Modliliśmy się też wtedy za chorych.

Było coś, co sprawiło, że musiałam pokutować przed Bogiem.

Codziennie spotykałam dzieci, które straciły rodziców, mieszkały w trudnych warunkach, miały tylko kilka ubrań na przebranie, jedną parę butów, jadły codziennie fasolę i posho, a posiadały więcej radości, szczęścia i wolności, niż przeciętny chrześcijanin z Europy, czyli na przykład ja. Co takiego oni mają, czego my nie mamy, że nie potrafimy czerpać radości z życia?

Tam, w Ugandzie, zrozumiałam, że potrzebuję walczyć i poświęcić się, by z desperacją szukać Boga. To, czego już nie mogę robić, to zaniedbywać modlitwy i czytania Bożego Słowa. Ale nie z przymusu, lecz z miłości. To jest coś pięknego, najwyższy zaszczyt, spotykać się z kimś, kogo kochamy. Jak bardzo kocham Słowo Boże i jak bardzo kocham modlić się, tak bardzo kocham Boga. Tego pragnę jeszcze bardziej po powrocie z Ugandy, aby

całym sercem i duszą oddać się sprawom duchowym. Tego oczekuje od nas Ojciec. Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam dodane (Łk 12,31). Tak proste, a tak trudne w Europie.

Nie minęło wiele od powrotu z Ugandy, a ja już tęsknię za dziećmi z domu dziecka, za wieczorami przy gwieździstym ugandyjskim niebie, czy też za czasem, gdy w naszym skromnym kościółku z desek śpiewaliśmy i tańczyliśmy na chwałę Pana. Zawsze będę pamiętać małe twarzyczki dzieci, które prosiły: „Antie, mugata”, czyli „Ciociu, daj chleb”.

To, czego jeszcze mocno doświadczyłam podczas mojego pobytu, to rzeczywistość Bożego Słowa. Werset z Psalmu 8,3: Przygotowałam sobie chwałę, siłę z ust dzieci i niemowląt na przekór nieprzyjaciołom swoim, aby poskromić wroga i mściciela stał się dla mnie realny na każdy dzień. Moje modlitwy codzienne dawały mi siłę. Doświadczałam tam namacalnej obecności Bożej, której szukam teraz podczas modlitwy w moim pokójku na strychu w małej wiosce, gdzie mieszkam w Polsce. Gdyż Pan wodzi oczyma swymi po całej ziemi, aby wzmocnić tych, którzy szczerym sercem są przy nim (2 Krn 16,9). Bóg słyszy nasze szczerze wołanie serca, i krzyk, i płacz, nie tylko w Afryce, ale i w Europie. Czy odważymy się szukać w modlitwie i czekać z wytrwałością na odpowiedź od Boga?

MAGPA

(wrzesień - październik 2011)

W Ugandzie spędziłam 2,5 tygodnia. Był to czas mojego urlopu. Pojechałam tam we wrześniu 2011 roku z Sarą – wolontariuszką, która została tam 3 miesiące. Jechałam do Ugandy, będąc przygotowana na to, co mogę tam zastać i zobaczyć. Przeczytałam książkę

Honoraty Wąsowskiej. Przejrzałam też różne strony internetowe. Wypytałam o wszystko, co możliwe, osoby będące tam wcześniej. Mimo że klimat, warunki, bieda, a nawet niektórzy Ugandyjczycy, byli mi już znajome ze zdjęć i opowieści, i tak było mnóstwo rzeczy, które mnie zaskoczyły.

To, co najbardziej zapadło mi w pamięć, to dzieci z odwiedzonych przeze mnie domów dziecka. Szczególnie poznanie ich serc, które kochają Pana Boga, co najbardziej było widać podczas ich modlitwy.

**Nigdy wcześniej
nie uczestniczyłam w tak
gorliwej i pełnej pasji
modlitwie dzieci.
Towarzyszące temu śpiew
i taniec, a przy tym
wdzięczność Bogu
za wszystko, co mają,
rozculiłyby każdego.**

Wtedy pomyślałam: „Jak Ty, Panie Boże, możesz pozwalać, żeby tak kochające Cię osoby żyły w takich warunkach?”. I Bóg odpowiedział mi szybko fragmentem z Listu Piotra 1,6-7, mówiącym o tym, że mamy się cieszyć z tego, gdy przechodzimy różne doświadczenia, żeby wypróbowana wiara nasza okazała się cenniejsza niż złoto. Otrzeźwiło mnie to bardzo, bo pokazało, jakie są moje priorytety. Czy to, w jakich warunkach żyją te dzieci, będzie miało znaczenie w niebie? Znaczenie będzie miało to, co jest w sercu człowieka.

Podczas mojego pobytu w Ugandzie, o ile nie było problemów z komunikacją, gdyż większość osób, wśród których przebywałam, zna angielski, o tyle różnice kulturowe niejednokrotnie były zaskoczeniem. W naszym krę-

gu kulturowym to kobiety mają pierwszeństwo. Tam mężczyźni pierwsi zaczynali jeść i nie przepuszczali mnie w drzwiach.

W Ugandzie, aby komuś okazać szacunek, należy przed nim uklęknąć. I tak żony klękają przed mężami, dzieci przed nauczycielami, młodsi przed starszymi. Pytałam kobiety, jak się z tym czują. Każda z nich odpowiedziała, że cieszy się, że może tak okazywać szacunek swojemu mężowi.



Dzieci w domu dziecka, chcąc okazać nam szacunek, też klękały, zupełnie nie mogłam się do tego przyzwyczaić.

Nie cierpię się spóźniać, w Ugandzie natomiast musiałam nauczyć się, że nie czas jest najważniejszy i nie ma znaczenia, czy spóźnisz się godzinę, czy dwie...

Lubię też działać zgodnie z planem. Jednak tam musiałam być gotowa na wszystko. Pewnego wieczoru o godz. 21:30 zmęczona i przeziębiona kładłam się do łóżka, kiedy powiadomiono mnie, że następnego dnia rano będę mogła przemówić na nabożeństwie. Nie byłam przygotowana i nie miałam na nic siły. Ale modliłam się: „Jeśli Ty, Panie Boże, chcesz, abym jutro się czymś podzieliła, to proszę, powiedz mi o tym w nocy”. Oczywiście, w nocy obudziłam się i już wiedziałam... Kazanie musiało być całkiem niezłe, bo potem zaproszono mnie do innego kościoła...

Inny przykład dotyczący zaskakujących i niezaplanowanych sytuacji: jechałam do szkoły, aby prowadzić zajęcia dla dzieci na temat higieny i wygłosić wykład dla dziewcząt. Jednakże kiedy tam dotarłam, okazało się, że miałam jeszcze zrobić wykład dla nauczycieli, a dzieciom dodatkowo opowiedzieć jakąś zachęcającą historię. Za każdym razem, kiedy miałam zrobić coś niespodziewanego i nie byłam przygotowana, Bóg dawał mi mądrość i właściwe słowa, i wiem, że było to zachętą dla innych. Mnie uczyło całkowitego zaufania i polegania na Panu Bogu.

Jestem pielęgniarką i część moich zadań w Ugandzie była z tym związana, ale było to spore wyzwanie. Pracuję w Polsce z dorosłymi, afrykańskie choroby dzieci były mi nieznane, a odpowiedzialność ogromna. Pamiętam, jak jeden chłopczyk miał bardzo obfite krwawienie z nosa. W Polsce zmierzyłabym ciśnienie, zrobiłabym okład z lodu, podałamby leki przeciwzakrzepowe, a tam nie miałam ciśnieniomierza, odpowiednich leków, ani - jak łatwo się domyślić - lodu. Jestem wdzięczna Bogu, że dawał mi w takich sytuacjach mądrość. Poczucie bezradności uczyło mnie szukania Go jeszcze bardziej. Takie sytuacje uczyły mnie, że powinienam być wdzięczna za to, co mamy w Polsce.

**Tym, czego nauczyłam się
podczas tego krótkiego
wyjazdu, była postawa
wdzięczności i przekonanie,
że nie mam prawa narzekać.**

Jestem również zachęcona pomocą finansową i rzeczową, która dociera do Ugandy regularnie z Polski, dzięki czemu tak wiele sierot może mieć zaspokojone podstawowe potrzeby i poznać Jezusa Chrystusa.

SARA
(wrzesień - grudzień 2011)

W połowie września ubiegłego roku wyjechałam na wolontariat do Ugandy. Początkowo spodziewałam się, że będę odwiedzać różnych ludzi i bawić się z dziećmi. Zaraz po przyjeździe okazało się, że mam uczyć w szkole podstawowej „Króla Dawida” w Kasiinie, co było dla mnie niesamowitym przeżyciem oraz nauką cierpliwości. Każdego dnia spędzałam czas z moimi uczniami, a między przerwami podawałam leki lub opatrywałam rany kochanych łobuzów.

Podczas weekendów odwiedzałam domy dziecka, które w tamtym regionie są wspierane przez Polaków. Odwiedzałam też wdowy i rodziny, wszyscy okazywali mi wielką życzliwość oraz miłość. Było niesamowitym przeżyciem poznać ludzi, którzy nie są



skażeni przez udogodnienia i atrakcje krajów rozwiniętych. Myślę, że dzięki temu ich postawa i styl życia były dla mnie wielkim zbudowaniem.

Będąc w Polsce, tęsknię za odgłosem koników polnych, szelestem bananowców czy radosnym śpiewem dzieci, bo to wszystko napawało mnie spokojem. Pobyt w Ugandzie był dla mnie konfrontacją w wielu aspektach mojego życia, ale także cudownym uzdrowieniem.

**W Polsce ciągle gdzieś
biegniemy, dążymy
do czegoś w pośpiechu
i często nie cieszymy się
tym, co mamy i chwilą,
w której żyjemy -
w przeciwieństwie
do Ugandyjczyków.
Ludzie żyją tam powoli, są
uśmiechnięci i życzliwi.
Nigdzie się nie śpieszą
i nie przerzucają stresu
oraz swych frustracji
na innych.**

Cieszę się, że mogłam chociaż przez chwilę być dla nich pomocą.

Wiele osób pytało, dlaczego zdecydowałam się wyjechać do Ugandy. Zawsze chciałam pojechać do Afryki. Zachwyciły mnie opowieści ludzi o tym kontynencie. W grudniu 2010 r. wyjechała do Ugandy Ela – moja znajoma - i kiedy o tym usłyszałam, pojawiło się w moim sercu wielkie pragnienie, aby także móc pojechać. Napisałam więc do Honoraty Wąsowskiej, która prowadzi m. in. wolontariaty tego typu, a następnie zaczęłam odkładać pieniądze potrzebne na wyjazd. Byłam zdziwiona, gdy okazywało się, że suma odkładanych przeze mnie pieniędzy szybko wzrasta. Latem 2011 r. wybrałam się do Anglii, gdzie po kilku dniach znalazłam pracę, gdzie Bóg bardzo błogosławił mi finansowo. Kiedy po wakacjach wróciłam do Polski, załatwiłam ostatnie sprawy na uczelni, szczepionki i byłam gotowa do wyjazdu.

Od czasu, kiedy to pragnienie pojawiło się w moim sercu, zbierałam informacje na temat Ugandy. Zetknęłam się ze statystykami, które

przedstawiły duży odsetek analfabetyzmu, zarażonych wirusem HIV oraz umieralności na często łatwe do uleczenia choroby np. malarię, którą leczy się 10 tabletkami w cenie około 2-3 złotych. Dodatkowo czytałam artykuły dotyczące polityki tego kraju oraz rządów Idi Amina.

Kiedyś wyobrażałam sobie, że będę głosić ewangelię dzieciom, które mieszkają na śmietnikach lub mieć styczność ze skutkami rebelii prowadzonej przez sfanatyzowaną Armię Bożego Oporu, o czym czytałam w książce Rewolucja miłości Joyce Meyer. Oczywiście, to były marzenia szalonej studentki, ale gdy wyjeżdżałam do Ugandy, nastawiłam się raczej na głoszenie ewangelii i bawienie się z dziećmi z domu dziecka. Kiedy dojechałam na miejsce, okazało się, że mam uczyć w szkole chemii, matematyki i innych przedmiotów. Nie ukrywam, że było to dla mnie wielkie wyzwanie. Z perspektywy czasu bardzo się cieszę, że to robiłam. Dzięki temu uczyłam się cierpliwości i miłości do ludzi oraz rozumiałam, jak ciężka jest praca nauczyciela.

Na początku była ze mną druga wolontariuszka, Magda, która jest pielęgniarką, więc przejęła pieczę medyczną nad dziećmi w szkole i w domu dziecka. Po jej wyjeździe przypadło to mnie. Od rana do popołudnia byłam w szkole, a w przerwach podawałam leki i robiłam małe zabiegi. Pewnego razu czyściłam około 0,5-0,8 cm dziurę w głowie jednego dziecka, a także otwierałam i opatrywałam ranę blisko skroni, gdzie zbierała się ropa. Często wymagało to ode mnie wiele siły, ponieważ chciało mi się płakać, gdy widziałam rany i ból. Popołudnia i wieczory spędzałam na grach i zabawach z dziećmi z domu dziecka. Czasem odwiedzałam inne domy dziecka wspierane przez Polaków oraz ugandyjskich przyjaciół. W weekendy jeździłam w różne miejsca i do różnych ludzi, a w niedziele zwykle gdzieś dzieliłam się ewangelią. Mój plan był napięty, ale dawał mi dużo radości.

Jeżeli chodzi o warunki bytowe, to jakoś dawałam radę, choć było to coś odmiennego, niż to, do czego przywykłam w Polsce. Nie było bieżącej wody, gotowało się na ognisku, a swoje potrzeby załatwiał się do dziury w ziemi. Aby zdobyć wodę, trzeba było przejść długi dystans, chyba że padał deszcz i można było zbierać deszczówkę. Te warunki nie były jednak aż tak straszne. Choć muszę przyznać, że pierwszy tydzień z moimi współpracownikami był okropny, mam na myśli milion mrówek, tysiąc karaluchów, dwie jaszczurki i odwiedzającego mnie w nocy szczura...

Największy problem miałam z transportem i przemieszczaniem się między miejscowościami. Często się zdarzało, że ludzie siedzieli prawie na sobie, gdy w 5-osobowym aucie jechało po 8-9 osób wraz z bagażami, a w busach, w podobnym ścisku, kilkadziesiąt osób wraz z kurami i kozami pod siedzeniem! Bardzo uciążliwe było także zaczepianie przez ludzi, szczególnie kiedy się ściemniało, było to nawet niebezpieczne. Przeżyłam też nieprzyjemną sytuację, kiedy już wyjeżdżałam z Ugandy. Jechaliśmy na lotnisko przez stolicę Kampalę i gdy wysiadałam z autobusu, pewien mężczyzna próbował otworzyć mi torebkę, a drugi w tym czasie chciał ukraść mi z kurtki telefon. Dzięki Bogu wyzarpnęłam się i uciekłam bez strat.

Niektórzy pytają mnie w Polsce o to, co było odkryciem tego wyjazdu. Zawsze się śmieję, że mam ciekawe inicjały – S.A. (spółka akcyjna): z każdym dniem więcej akcji należy do Boga. I tak też było w Ugandzie. To, czego tam doświadczyłam, było raczej postępowaniem lub ewolucją.

Uczyłam się, jak być wyczulona na Boży głos i jak lepiej słuchać Boga w codziennych sprawach, a nie tylko podczas specjalnych okazji. Uczyłam się tego, aby swoje zdanie opierać tylko na Bożym Słowie, a nie na słowach innych. Bóg przypominał mi, aby za-

troszczyć się o podstawy (fundamenty) w swoim życiu, bo jeśli podstawa jest chwiejna, to prędzej czy później cały dom runie. Bóg przypominał mi także o tym, aby dbać o serce, bo tam jest źródło życia (por. Prz 4,23).

Myśląc o całym pobycie, niesamowitą radość daje mi to, że byłam Bożym narzędziem, że niezależnie, co robiłam i jakie były warunki, sprawiało mi to wielką przyjemność. Wspaniałe było mówić innym o Bogu, dzielić się tym, co On do mnie mówił. Kiedy opowiadałam o Nim, poznawałam Go od nowa i jeszcze bardziej się w Nim zakochiwałam. Każda chwila w modlitwie łamała bariery i przybliżała mnie do Boga. Myślę, że gdybym miała okazję, pojechałabym znów do Ugandy!

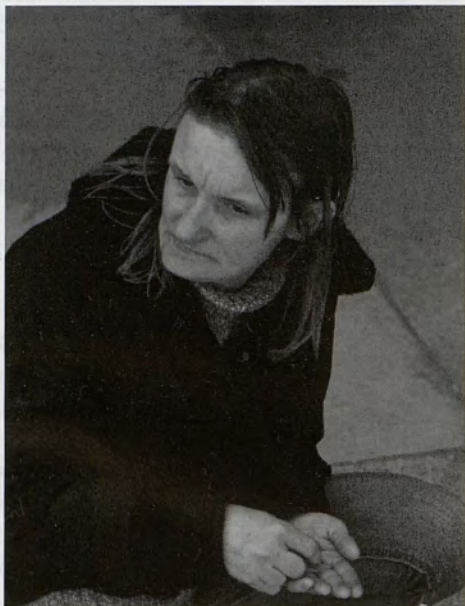
Więcej zdjęć z pobytu wolontariuszy: <https://picasaweb.google.com/hakiiki>

To niezwykle, że po wyjeździe Honoraty z Ugandy w 2008 roku do dzisiejszego dnia było w tym samym miejscu, czyli regionie Kyenjojo, gdzie przebywała, już 27 Polaków. Pięcioro wróciło tam po raz drugi jakiś czas później. Każdy z nich zostawił po sobie ślad w sercach tamtejszych ludzi. Wielu z nich nie wykonywało w Ugandzie swego zawodu, byli po prostu znakiem Bożej miłości i troski. Wielu z nich zastanawiało się, co może tam robić, w jaki sposób być pożytecznym, ale czegośkolwiek by tam nie robili, najważniejsze było, że po prostu tam byli!

Drodzy wolontariusze, zawsze dziękujemy Bogu za was wszystkich, wspominając o was w naszych modlitwach, pomni przed Bogiem i Ojcem naszym na Wasze dzieło wiary, na trud miłości i na wytrwałą nadzieję w Panu naszym Jezusie Chrystusie (1 Tes 1,2-3). Niech dobry Bóg nas wszystkich błogosławi!

Kto lituje się nad ubogim, pożycza Panu,
a Ten mu odptaci za jego dobrodziejstwo.
(Prz 19,17)

Służba ubogim

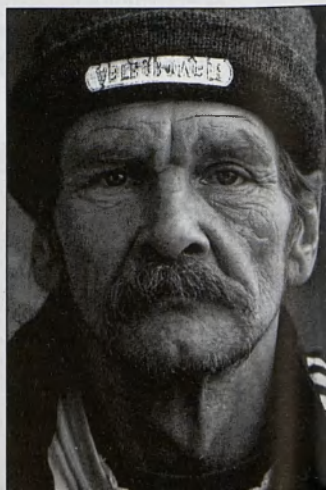


Bierzcie w obronę biedaka i sierotę. Ubogiemu i potrzebującemu wymierzajcie sprawiedliwość! Ratujcie biedaka i nędzarza, wyrwijcie go z ręki bezbożnych (Ps 82,3-4).

Bardzo dziękujemy wszystkim, którzy trwali w modlitwach o czas konferencji. Chwała Panu za ten błogosławiony czas! Pan Jezus pozwolił, by wiele serc przyszło prosto z ulicy, aby posłuchać Słowa Bożego, ogrzać się i zjeść wspólnie ciepły posiłek. Mogli usłyszeć, że istnieje realna, dana od Boga szansa na zmianę ich życia. Wielu z nich pod wpływem usłyszanego Słowa zareagowało na ewangelię. Pamiętajmy o nich w naszych codziennych modlitwach.

Siedziałam z moją siostrą obok człowieka, który wołał o pomoc do Boga. Powiedział, że już ma dosyć życia. Wyjęłam z torby Nowy Testament i, wpisując jako dedykację werset z Ew. Jana 3,16, podarowałam mu go. Chwała Panu za każdą sposobność dzielenia się dobrą nowiną!

Byłam bardzo zbudowana usługą z Ew. Łukasza 5,1-12, świadectwami oraz organizacją całej konferencji. Nakarmienie ok. 200 osób nie jest proste. Dziękujemy Ojcu Niebiańskiemu, że się o wszystko zatroszczył, że były wśród nas osoby, które na co dzień zajmują się pomaganiem w rozwiązywaniu bieżących problemów od strony duchowej i socjalnej. Byli to chrześcijanie pracujący zawodowo w tej branży. Ludzie mogli bezpośrednio, już w czasie konferencji, uzyskać konkretne informacje i umówić się na spotkanie.



Kiedy w 2000 roku wychodziliśmy z mężem na ulice Warszawy i na Dworzec Centralny z ewangelią i z ciepłymi posiłkami, nie wiedzieliśmy, co robi Pan Bóg. Nie przypuszczaliśmy, że będziemy mogli mieć udział w jeszcze większym dziele.

Modliliśmy się o pomoc do Pana i przynosiliśmy potrzeby napotkanych ludzi, zachęcaliśmy do przychodzenia na nabożeństwo do kościoła na ul. Sienną. To było najbliższe miejsce.

Mówiliśmy bezdomnym, że mogliby pojechać do pobliskiego Grójca i pytać o pracę przy zbiorach owoców. Tam mogliby dostać również zakwaterowanie.

Były to dla nas nowe doświadczenia. Widzieliśmy ogromne potrzeby, przynosiliśmy je do naszego kochanego Zbawcy, bo tylko On jest niezawodny. Później wyjechaliśmy na pewien czas na południe Polski, gdzie pomagaliśmy między innymi w pracy z alkoholikami i uzależnionymi. Braliśmy udział w regularnych spotkaniach i wyjazdach na dni skupienia do kościoła w Ustroniu, gdzie przez 3 dni ludzie mogli być pod wpływem Słowa Bożego i modlitwy.

Następnie służyliśmy w Zamościu.

Do Warszawy wróciliśmy po kilku latach. Mogliśmy przyłączyć się do organizowania spotkań wigilijnych pod hasłem „Nie musisz być sam”. Każdy mógł otrzymać Nowy Testament i świąteczne podarunki. To były kolejne etapy niesienia praktycznej miłości i pomocy ludziom z ulicy. Dzisiaj możemy oglądać, jak Pan krok po kroku rozwija tę służbę. To już rzeczywistość.

Prosimy nadal o modlitwę:

- o osoby, które otworzyły swoje serca dla Pana Jezusa i pragną przemiany życia (Ps 82,3-4);
- o ich duchowy wzrost i Boże prowadzenie w stawianiu kolejnych kroków wiary;
- o Bożą mądrość dla osób, które będą pomagały im w znalezieniu się w ośrodku chrześcijańskim lub podjęciu pracy;
- dziękujemy za osoby, które pojechały już do ośrodków i wzrastają duchowo;
- prośmy o Boże zaopatrzenie duchowe i finansowe, żeby ta służba mogła się prędko rozwijać dla Bożej chwały;
- dziękujemy za dobrą współpracę i zaangażowanie kościołów i misji, którym bliska jest ta sprawa (Ps 133);
- prośmy Pana żniwa o kolejnych robotników, dziękując za tych, którzy już służą;
- o więcej chrześcijańskich ośrodków, dziękując za te, które są.

Chwała Panu za regularne spotkania dla bezdomnych przy Słowie Bożym, które odbywają się w różnych miejscach Warszawy. W następnej kolejności osoby pragnące zmiany życia wysyłane są do chrześcijańskich ośrodków, w których pobyt trwa 6 miesięcy. W ten sposób przygotowywane są do podjęcia kolejnych kroków, m. in. samodzielnej pracy zawodowej.

Jestem wdzięczna mojemu Panu, że mogłam wraz z mężem oraz braćmi i siostrami z mojej społeczności i innych misji przyłożyć ręce do tego dzieła.

Życzę wszystkim obfitego Bożego błogosławieństwa i radości w codziennym życiu dla Pana Jezusa. Niech każdy dzień z Nim będzie lepszy niż miniony dzień!

Pamiętajmy, że niosąc błogosławieństwo i pomoc innym, sami jesteśmy błogosławieni.

Byłam narkomanką

Marek Kotański zdefiniował narkomana następująco: „Narkoman jest w gruncie rzeczy bezbronnym człowiekiem pełnym sprzeczności i lęków, pozbawionym naturalnej odporności na stres codziennej egzystencji, pogardzanym przez bliskich i społeczeństwo, zagubionym i bezradnym. Narkotyk jest dla niego jedyną, znaną mu i dostępną formą obrony przed bólem istnienia, paradoksalnym schronem, w którym przyjdzie mu kiedyś zginąć”.

Jak to się stało, że sięgnęłam po strzykawkę? Miałam 15 lat, hormony skakały, szukałam akceptacji i bezpieczeństwa, a narkotyki powodowały, że czułam się kimś wyjątkowym, dawały mi poczucie bezpieczeństwa, ukojenie. Dziś wiem, że były to kłamstwa pochodzące od szatana.

Branie narkotyków stało się moim życiem. W ten sposób spędziłam 6 lat. Po dwóch latach nie czułam już przyjemności. Musiałam brać, by jakoś funkcjonować. Tak silne psychicznie uzależnienie spowodowało u mnie depresję, głęboki smutek, który trwał cały czas. Straciłam zainteresowanie sprawami, które do tej pory mnie cieszyły, absorbowały.

Traciłam siły i energię, tak że ciężko mi było podejmować czynności, które osoba zdrowa robi niemalże automatycznie. W dodatku czułam, że ludzie mną pogardzają.

Zawsze wydawało mi się, że na przyjaźń trzeba sobie zasłużyć. W dzieciństwie, mając zaledwie 7 lat, dla kupienia sobie przyjaźni koleżanki okradłam własną babcię. Koleżanka namówiła mnie, bym zabrała babci pieniądze, tak żeby nikt nie widział, a wtedy ona stanie się moją przyjaciółką. Nie myślałam, że wyrządzam babci krzywdę. A ta dziewczynka nie zaprzyjaźniła się ze mną, nawet przestałyśmy być koleżankami, omijałyśmy się z daleka. Dziś wiem, że gdy ukradłam babci pieniądze, miała niezły ubaw.

To przykre, że na przyjaźń czy miłość ludzką trzeba sobie zasłużyć. Owszem, zdarzają się przyjaźnie bezinteresowne i bezwarunkowe, ale rzadko...

Najbardziej bezinteresownym przyjacielem jest Jezus Chrystus. Kiedy Go poznałam

i pokochałam, został moim najlepszym przyjacielem. Nie musiałam najpierw czegoś zrobić, aby zyskać Jego przyjaźń. On okazuje mi miłość, przeżywamy razem radości i smutki. Mogę Mu o wszystkim powiedzieć. Jest zawsze dostępny, zawsze gotowy na rozmowę, chociaż nie zawsze staram się znaleźć na nią czas. On zawsze idzie przede mną i ochrania mnie.

Jak to się stało, że Go spotkałam? Pewnego razu stałam na przystanku, czekając na autobus. Chciałam sobie załatwić narkotyki, taką ilość, by umrzeć. Ale Bóg mnie widział i sprawił, że na ten sam przystanek przyszedł Bartek, z którym kiedyś brałam narkotyki. Dwa lata wcześniej opowiadał mi, że dzięki Jezusowi stał się wolny. Wtedy z niego drwiłam, ale tym razem nie było mi do śmiechu i to nim Bóg posłużył się, by mi pomóc.

Bartek jeszcze tego samego dnia załatwił mi pobyt w Chrześcijańskim Ośrodku dla Osób Uzależnionych w Broczynie. Tam właśnie poznałam osobiście Jezusa, Tego, o którym mówił mi Bartek i wtedy zrozumiałam, dlaczego tak łatwo porzucił „stare, narkomańskie życie”. W ośrodku miałam świetną pomoc. Kadra to prawdziwi uczniowie Jezusa. Ewa, moja mama duchowa, psycholog, wypowiadała każde słowo w Bożym autorytecie. Jej rozmowy ze mną były nasycone Bożą mądrością, nie było żadnego psychologicznego slangu. Rok czasu w ośrodku był rokiem podstaw wiary. Zbudowałam tam trwałą funda-

ment, opierając się na słowach Jezusa Chrystusa.

Bywałam u różnych terapeutów, psychologów i psychiatrów - jednak nikt ani nic nie było w stanie mi pomóc. Z Jezusem jednak jest inaczej. Różnica między terapią chrześcijańską, a świecką polega na tym, że wychodząc z chrześcijańskiego ośrodka, już nie pozostałam sama - został mi dany Duch Święty z chwilą oddania życia Jezusowi. On jest przy mnie stale i wciąż mogę z Nim rozmawiać. Mam pewność, że słyszy, bo widzę Jego pomoc i troskę o moje życie.

Bywało, że i w życiu z Jezusem przeżywałam ciężkie chwile, a nawet porażki. Jezus nigdy mi nie obiecywał, że gdy oddam Mu życie, wszystko będzie po mojej myśli. On jednak daje obietnicę, że w najgorszej chwili będzie przy mnie, da mi ukojenie, uzdrowienie i nie odrzuci na wieki.

Mija już ósmy rok, odkąd stałam się dzieckiem Bożym. Za darmo dostałam przebaczenie, nadzieję i miłość... Za darmo głosząc ewangelię tym, którzy tego oczekują, mówię ludziom, że jest Ktoś, kto oddał swoje życie po to, bym ja mogła żyć... Tym Kimś jest Jezus Chrystus.

Za darmo dostałam przebaczenie, nadzieję i miłość...

Jak poznałem swoją żonę

Kiedy byłem małym chłopcem, słyszałem modlitwy mojej mamy. Modliła się żarliwie o całą naszą rodzinę i o mnie, żebym był zbawiony. Gdy to słyszałem, przeszedł mnie dreszcz. „Jak ona mnie kocha”, pomyślałem. Widziałem, jak Bóg wysłuchuje modlitw mojej mamy i myślałem, jaki On jest wielki.

Gdy miałem 13 lat przez pomyłkę napiłem się kwasu solnego. Modliłem się o uzdrowienie i po trzech dniach nie było śladu po truciznie w moim ciele. Będąc chłopcem, rozmyślałem w sercu: „Co by było, gdyby nie było Boga?”. Stwierdziłem, że wtedy nie byłoby nieba, ziemi, ani ludzi, taty, mamy, braci i mnie. Zrozumiałem, że to by było bez sensu.

A tak, mając wiarę w żywego Boga mojej mamy i w to, że On mnie wysłuchał, postanowiłem w sercu, że będę się modlił do żywego Boga o wszystko, a On mi odpowie.

Gdy miałem 14 lat, zacząłem się modlić o żonę, bo chciałem, żeby to Bóg mi ją dał. Nie chciałem szukać na własną rękę. Potem, gdy byłem już starszy, zacząłem budować dom, przecież muszę gdzieś z żoną zamieszkać. Kiedy dom był na ukończeniu, miałem 30 lat, a żony ciągle nie było.

Pewnego lata wziąłem zaległy urlop na całe dwa letnie miesiące. Nasz pastor powie-

dział, że jest potrzebna pomoc podczas ewangelizacji, którą organizuje zbor w Częstochowie. Obiecałem, że pojadę, lecz później jakoś nie miałem ochoty. Na pytanie pastora, który po tygodniu zapytał mnie, czy jadę, nic nie odpowiedziałem i odszedłem. I nagle usłyszałem wewnątrz siebie głos: „Leonie, straciłeś swoje słowo honoru”. Było mi wstyd i szybko wróciłem do pastora, mówiąc, że ze względu na dane słowo pojadę do Częstochowy. Wtedy moje serce wypełnił Boży pokój i usłyszałem: „A może spotkasz tam kogoś?”. Było to tak wyraźne, że byłem pewny, że mój stan cywilny już się zmienił.

Pastor z Częstochowy przydzielił mi funkcję duszpasterza do rozmów z ludźmi, którzy chcieliby porozmawiać i pomodlić się po ewangelizacji. Będąc w pobliżu wypełnionego już namiotu, pytałem: „Panie, jak w takim tłumie odnajdę tę, którą masz dla mnie?”.

Zacząła się ewangelizacja. Po wstępnej mowie pastor wywołał wszystkich duszpasterzy do przodu, aby się o nas pomodlić i wtedy ujrzałem śliczną dziewczynę. W sercu usłyszałem: „To ona”, a ja odpowiedziałem: „Ta mi wystarczy”. Przypomniało mi się, że jej zdjęcie widziałem już wcześniej, kiedy swego czasu czytałem świadectwo jej nawrócenia w „Punkcie Zwrotnym”.

Po jakimś czasie zostaliśmy narzeczeństwem. Pewnego razu Agnieszka napisała mi, że jest słabego zdrowia. Wcześniej już wiedziałem z przeczytanego świadectwa, ile cierpienia doznała w rodzinnym domu. Zacząłem się modlić, abym mógł być dla niej lekar-

stwem. Zrozumiałem też, że aby być przydatnym w leczeniu innych, sam muszę przejść proces uzdrowienia. Gdy widzę swoje błędy i braki i dostrzegam, jak wiele Pan ma ze mną problemów, wiem, że nie mogę wziąć bata i smagać bliźniego, jakkolwiek można to rozumieć.

Moja własna niedoskonałość uczy mnie pokory, przebaczenia, cierpliwości i poddania się Duchowi Świętemu, aby kształtował we mnie charakter Jezusa Chrystusa. By z mojego życia wydobywała się wonność Chrystusowa, abym potrafił postępować zgodnie ze słowami zapisanymi w Liście Jakuba (3,13.17-18), tj. aby uczynki moje były nacechowane łagodnością, uступłością, miłosierdziem i pokojem.

Więc prosiłem Pana, aby mnie uczynił lekarstwem dla Agnieszki, aby w naszym małżeńskim życiu było tak, jak mówi 1 Kor 16,14: Wszystko niech się dzieje u was w miłości. Szatan jednak chciał mi odebrać żonę.

Pewnego razu, gdy wybierałem się do pracy na nocną zmianę, żona już spała, ale na stoliku przy łóżku leżała obrączka i kartka. Agnieszka napisała, że mnie kocha, że było

nam razem bardzo dobrze, ale ona wie, że ta bajka kiedyś się skończy i chce ze sobą zabrać jedynie miłe wspomnienia, zanim to nastąpi. Było tam jeszcze puste opakowanie po tabletkach nasennych. Pracowałem wtedy w pogotowiu ratunkowym, świadomy więc byłem, że dawka, jaką zażyła, jest śmiertelna. Pobiegłem co sił w nogach do pracy, zamknąłem się w jednym z pomieszczeń, powiedziałem kolegom, gdzie jestem, gdybym był pilnie potrzebny.

A potem zacząłem się modlić, tocząc duchową walkę z szatanem, żądając od niego, aby wypuścił moją żonę ze swoich rąk. Trwało to jakiś czas, aż w pewnym momencie odczułem w swym sercu pokój. Wiedziałem, że z pomocą Jezusa Chrystusa odniosłem zwycięstwo. Gdy wróciłem do domu, żona już nie spała.

Powiedziałem jej, że to, co zrobiła, było spowodowane jej zranieniami doznany mi w domu rodzinnym. Że to już przeszłość i teraz z Bożą pomocą będzie już wszystko dobrze.

To prawda. Od tego momentu Leon i Agnieszka są szczęśliwym i kochającym się małżeństwem. Żyją w oparciu o Bożą wolę, a zła przeszłość już nie powraca nawet w myślach. Wychowują córeczkę Sarę i żyją w pokoju Bożym.

Małżeństwo jako potrójny sznur

Pragnę zadedykować wszystkim małżeństwom początek wersetu z Listu do Hebrajczyków 13,4: *małżeństwo niech będzie we czci u wszystkich*. Jest to apel, abyśmy szanowali małżeństwo jako instytucję. Szczególnie w naszych czasach staje się on potrzebny i powinien być mocno akcentowany. Widzimy, chociażby w mediach, jak waga małżeństwa jest coraz bardziej obniżana. Proponuje się inne związki jako równorzędne małżeństwu, a może nawet lepsze, bo prostsze. Chciałbym się jednak skupić na nas, świadomie wierzących, gdyż niekiedy jest mi smutno, gdy widzę, że tu i ówdzie pojawiają się żarty, które delikatnie, może nie całkiem świadomie, ale jednak deprecjonują małżeństwo, traktują je z przymrużeniem oka. Niby nic takiego, a jednak umniejszają jego rolę.

A przecież autorem małżeństwa jest sam Bóg. Jeżeli ktoś kpi sobie z popularnego niegdyś samochodu, jakim jest „maluch”, to tak jakby - chociaż mógł nie mieć takiego zamiaru - naśmiewał się z jego konstruktora. Podobnie jest w przypadku małżeństwa. Jeżeli dowcipkujemy na temat małżeństwa, to trochę tak, jakbyśmy żartowali na temat samego Boga. Dlatego bądźmy ostrożni.

Potraktujmy ten werset osobiście. Chodzi o to, aby nasze własne małżeństwo było we czci u wszystkich. Ale ktoś może zapytać: „Dlaczego miałby to być apel do mnie, do mojego małżeństwa?”. Może ten apel należałoby skierować do naszego otoczenia, do naszych

sąsiadów, krewnych, znajomych, do społeczności zborowej.

Lecz przypomnijmy sobie, że apostoł Paweł napisał do swego dużo młodszego współpracownika Tymoteusza (1 Tym 4,12): *niechaj cię nikt nie lekceważy z powodu młodego wieku*. Można by zapytać Pawła, dlaczego zwracał się z tym apelem do Tymoteusza. Czy nie powinien go skierować raczej do społeczności, wśród której działał Tymoteusz? Ale dalej apostoł mówi do tego młodego człowieka, że ma być wzorem *w postępowaniu, w miłości, w wierze, w czystości*. I jeżeli Tymoteusz będzie tak postępował, na pewno nikt nie będzie go lekceważył.

W tym tkwi klucz. Właśnie w ten sposób rodzi się autorytet. To samo odnosi się do naszego małżeństwa. **W naszym otoczeniu jest wiele małżeństw, sąsiadów, krewnych, znajomych. Przypuszczam też, że są wśród nich takie małżeństwa, których nie chcielibyśmy naśladować. Czy takie małżeństwo może być we czci u wszystkich? Raczej nie. Ale są z pewnością w naszym otoczeniu małżeństwa, które podziwiamy. Czujemy się zachęcani, kiedy widzimy ich miłość, pomimo upływu lat, jak wspaniale się do siebie odnoszą, jak dobrze wychowali dzieci. Widząc to wszystko, chcielibyśmy, aby w naszym małżeństwie było tak samo.**

Takie małżeństwo nie musi prosić o cześć. Ona rodzi się sama. Stąd mój apel, abyśmy tworzyli małżeństwa, które będą we czci u wszystkich. Jest to zadanie trudne, ale złożone na całe nasze życie. Jest to praca pełna satysfakcji, radości, a zarazem przygód.

Co należy uczynić, aby nasze małżeństwo było dla innych zachęceniem i wzorem? Co jest decydującym czynnikiem w tej kwestii?

Oczywiście, miłość. Miłość, którą Bóg rozpałił w naszych sercach, która rozpała nasze emocje. Ona jest widoczna na zewnątrz i w naszym zachowaniu, w sposobie odnoszenia się do siebie. Miłość, jaką apostoł Paweł opisuje w 1 Kor 13,4-7: miłość, która jest cierpliwa, dobrotliwa, nie zazdrości, nie jest dumna, zarozumiiała, arogancka, nie obstaje uparcie przy swoim, nie jest drażliwa, ani skłonna do grzechu, nie żywi urazy, nie myśli nic złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale raduje się z prawdy.

Właśnie o taką miłość chodzi. Może to jest oczywiste w dniu ślubu, ale jest ważne, aby to było oczywiste również po latach. Miłość nigdy nie ustaje i to jest jej najpiękniejsza, Boża cecha. Po latach może być jeszcze piękniejsza, doskonalsza. Pewnie będzie bardziej dojrzała, mądrzejsza. Ale wcale nie musi stracić na intensywności, na smaku i na swoim pięknie.

Czy jest to możliwe? Oczywiście, że tak, ale pod warunkiem, że fundamentem tej miłości jest Bóg. Małżeństwo w Biblii jest opisane przy pomocy wielu obrazów. Jednym z nich jest potrójny sznur. W Księdze Kaznodziei Salomona 4,12 jest napisane: *a jeśli jednego można pokonać, to we dwóch można się ostać, a potrójny sznur nie tak szybko się zerwie*.

Czym jest potrójny sznur?

To są trzy sznury bardzo ściśle ze sobą splecione. Można powiedzieć, że jeden sznur to mąż, drugi to żona, a trzecim sznurem, niewidocznym dla oczu, jest Bóg. On ma być po-

stacją centralną, wokół Niego ma być opłatanie życie małżonków. **Bardzo łatwo jest zapomnieć o Bogu. Nie chodzi tu o całkowite odejście od Boga, ale odsunięcie Go na bok i pominięcie podczas podejmowania decyzji. Nasze małżeństwo nie jest już wtedy potrójnym sznurem, bardzo ściśle ze sobą związanym. To są dwa sznury, a trzeci sznur gdzieś tam sobie zwisa, raz na jakiś czas jest tylko wplątany między dwa sznury. Takie małżeństwo może początkowo nie zdawać sobie sprawy z czyhającego zagrożenia. Ale gdy w małżeństwie dojdzie do napięcia, sznur może się poluzować.**

Jak to wygląda?

Można żyć pod jednym dachem, ale obok siebie. Pan Bóg przewidział dla małżeństwa potrójny sznur, bardzo ściśle przyleganie do siebie. W Kzn 4,10 jest napisane: *bo jeśli upadną, to jeden drugiego podniesie*. I to jest bardzo ważne w małżeństwie. To jest cecha, która musi towarzyszyć każdemu małżeństwu: kiedy jedno z małżonków przeżywa trudny okres, to drugie powinno go podnieść, zachęcać, dodawać otuchy zawsze i wszędzie.

Werset mówi: *bo jeśli upadną...* Wygodniej byłoby pominąć te słowa i nie mówić o upadkach, o problemach. Ale takie jest życie i Biblia też o tym mówi. Upadki zdarzają się w życiu i w małżeństwie także. Jeżeli jeden z małżonków upadnie, drugi ma go podnieść. Ale w życiu bywa inaczej. Widzimy to na przykład w pracy, gdy ludzie czyhają na czyjeś potknięcie. Nie tak ma być w małżeństwie. Gdy jeden upadnie, drugi ma go podnieść.

To trudne, jeśli w małżeństwie nie ma Boga. Wtedy do głosu dochodzi stara ludzka natura. Naturalne ludzkie reakcje doprowadzają do wzajemnych oskarżeń, obwiniania się. Ale Bóg mówi: „Ty masz mu przebaczyć, on ma dzisiaj trudny dzień, więc ty masz go podeprzeć, zachęcić,

przytulić. Po to właśnie jesteście razem”. Takie jest Boże działanie w naszym małżeństwie, jeśli Bóg jest tym „centralnym sznurkiem”, wokół którego oplatają się pozostałe dwa sznury – małżonkowie - ściśle przylegając do siebie.

W Księdze Ozeasza 11,4 Bóg mówi: *przyciągałem ich więzami miłości*. I to przyciąganie miało miejsce wtedy, gdy lud izraelski odchodził od Boga. Można by przypuszczać, że Bóg ześle na swój lud jakąś karę, ale Bóg przyciąga go swą miłością. Niekiedy Bóg przedstawiany jest jako surowy władca, który tylko czeka na nasze potknięcie, aby nas ukarać. To jest błędne myślenie. Bóg przyciąga więzami miłości. Podobnie jest jeśli chodzi o relacje małżeńskie. Bóg przyciąga małżonków więzami miłości, takiej miłości, o jakiej mówi 1 Kor 13.

Właśnie wtedy, gdy małżonków ponoszą emocje, kiedy jest trudno, gdy się od siebie oddalają, wtedy Bóg daje miłość, która nie szuka swego, nie dochodzi swoich racji, nie pamięta złych zachowań współmałżonka. Jeśli Boga zostawimy gdzieś na boku, to bardzo łatwo przychodzi rozluźnienie więzi małżeńskiej. Jeśli nie ma Tego, który łączy, jeśli nie ma siły scalającej, to bardzo łatwo małżonkowie mogą się rozminąć, a w skrajnych przypadkach może dojść do rozwodu. Pięknie mówi o takiej miłości Pieśń nad Pieśniami 8,6-7: *albowiem miłość jest mocna jak śmierć, namiętność twarda jak szeol, jej żar to żar ognia, to płomień Pana. Wielkie wody nie ugaszą miłości, a strumienie nie zaleją jej*.

Mówiąc o wodach, które chciałyby zalać miłość, przypomina się obraz, jaki Pan Jezus nakreślił w przypowieści o dwóch budowniczych. Obaj wybudowali dom. Jeden na skale, na pewnym fundamencie, a drugi na piasku. Kiedy przyszły wichry i nawałnice, dom na piasku runął, a dom zbudowany na skale się

ostał. Podobnie jest w małżeństwie. Małżeństwo, które traktuje Boga serio, żyje blisko Niego. Ostoi się, gdy przyjdą doświadczenia, trudne sytuacje. Lecz małżeństwo, które traktuje Boga jako dodatek, ozdobnik do swojego życia, jest poważnie zagrożone, gdy nadejdą nawałnice.

Te wichry mają swój cel. W Pieśni nad Pieśniami 4,16 małżeństwo jest przyrównane do ogrodu: *powstań wietrze z północy i zerwij się wietrze z południa, przewiej mój ogród, niech się rozplynie jego balsamiczna woń, niech przyjdzie mój miły do swojego ogrodu i niech spożywa jego wyborne owoce*. Ten ogród to małżeństwo. A wiatr jest symbolem burz, doświadczeń, jakie każde małżeństwo przeżywa. Wiatr nie pozostawia jednak żadnych zniszczeń w ogrodzie. Nie ma połamanych gałęzi, zwałonych drzew. Przeciwnie, z ogrodu wypłynęła piękna, balsamiczna woń, a wszyscy przebywający w pobliżu tego ogrodu mogli zachwycać się jego zapachem.

I tak jest z małżeństwem zbudowanym na Bogu, kiedy przychodzi trudny okres. Wszyscy, którzy na nie patrzą, mogą Go chwalić, jak niesamowicie ich przez to przeprowadził. I to jest balsamiczna woń. Kiedyś słyszałem mądrą myśl: „Doświadczenie osłabia uczucie mierne, a wzmacnia wielkie, jak wiatr gasi świecę, a roznieca ogień”. Życzę każdemu małżeństwu, by jego uczucia nie były jak płomień świecy, ale jak wielki ogień, jak żar Pana. Jeżeli nawet przyjdą doświadczenia, to po to, aby mogły jeszcze bardziej rozniecić ogień miłości.

Jeżeli sznur leży spokojnie gdzieś na płacie, nic się nie dzieje. Lecz gdy zaczynają działać na niego siły zewnętrzne, wtedy sznur zaczyna się naprężać, a jego elementy coraz bardziej przylegają do siebie. Niech tak się dzieje w każdym małżeństwie Bożych dzieci.

Jeśli Boga zostawimy gdzieś na boku, to bardzo łatwo przychodzi rozluźnienie więzi małżeńskiej.

Świadectwo mojego życia i nawrócenia

Bóg ukształtował w sercu każdego człowieka próżnię, której nie może wypełnić żadna rzecz stworzona, lecz jedynie miłość Boga objawiona w Jezusie Chrystusie. /Blaise Pascal/

Kiedy byłam małym dzieckiem, śpiewałam radosne pieśni w chórze kościelnym i wydawało mi się, że jestem wyróżniona wśród innych. „Niechaj z nami będzie Pan, Alleluja!” – słowa tej pięknej pieśni pamiętam do dziś. Wtedy miałam osiem lat i mieszkaliśmy w małej mazurskiej wiosce, gdzie na wzgórzu stał mały kościółek. Życie moje, mojej rodziny i mieszkańców było skupione wokół tego kościółka.

Pochodzę z rodziny katolickiej, gdzie zawsze dominowała tradycja i religijność. Dorastałam w takiej atmosferze, tak naprawdę nie czując Boga, tylko znając Go z litanii, obrazków, różańca, Drogi Krzyżowej oraz innych rytuałów i obrzędów kościelnych. Czasami doznawałam pewnego poruszenia duchowego podczas pielgrzymek do Częstochowy, Lichenia, spotkania z papieżem... Ale te chwile trwały krótko, były ulotne jak liście na wietrze.

Żyłam po swojemu, szukając szczęścia na własną rękę. Wkroczyłam na drogę grzechu, wdając się w różne przygody z mężczyznami. Szukałam tego jedyne go, partnera na całe życie, ale nie wychodziło. Co chłopak, to niepowodzenie uczuciowe. Trwało to tak długo aż w wieku 24 lat, jako panna, urodziłam syna. Wtedy zaczęłam głębiej analizować swoje postępowanie. Miłość macierzyńska dawała mi

dużo radości, ale też wiele tęsknoty za pełną rodziną. Wówczas odnowiłam starą znajomość z mężczyzną, którego kiedyś znałam, pojawiło się uczucie i szybka decyzja o ślubie. Potem urodziłam drugiego syna. Wydawało mi się, że życie się poukładało i wszystko idzie w dobrym kierunku. Miałam męża, dwoje kochanych dzieci, dobrą pracę. Ale brakowało Boga.

Mój mąż, zdeklarowany ateista, utrudniał mi wychowywanie dzieci w wierze, odciągał nas różnymi sposobami od praktyk religijnych. Przyszedł moment, że zostałam sama w moim domu jako osoba wierząca. Synowie, podobnie jak ojciec, nie byli zainteresowani Bogiem. Zaczęłam mieć poważne problemy zdrowotne. Moja wiara zaczęła się pogłębiać. Wołałam do Boga o pomoc i On mnie uzdrowił - znalazłam odpowiedni szpital, wspaniałych lekarzy, gdzie przywrócono mi zdrowie i sprawność. Wydawało mi się, że najgorsze mam za sobą, pokonałam chorobę, ale prawdziwy dramat był dopiero przede mną.

Moje małżeństwo zaczęło się rozpadać. Synowie zaczęli mieć problemy, jeden ze zdrowiem, drugi ze złym towarzystwem. Mąż zamknął się w sobie, oddalał ode mnie coraz bardziej, a ja czułam się bezsilna i bezradna wobec nieszczęść, które nas spotykały. Poja-

wiły się kłótnie, krzyki, złość, zła atmosfera domowa. A w końcu rozwód, rozpad rodziny, moja przeprowadzka do mieszkania po rodzicach i straszna rozpacz! W tej rozpacz i pustce, która powstała, zaczęłam szukać sensu życia, krzycząc do Boga: „Jak mam dalej żyć, po co, dla kogo?”. Nie umiałam się odnaleźć w tej sytuacji, sama, bo synowie postanowili zostać z ojcem. Moja rozpacz była przeogromna. Modliłam się do Boga, wylewałam morze łez, nie umiałam sobie sama poradzić. Dużo czasu spędzałam poza domem, spacerowałam, ciągle w ruchu, na rowerze, aby zabić wolny czas.

I pewnego wiosennego dnia, kiedy świeciło słońce, spotkałam w parku koleżankę, która opowiedziała mi o żywym, realnym Bogu, o zborze zielonoświątkowym, o radości, jaką daje Jezus Chrystus.

Podczas spotkania siostrzanego, 16 czerwca 2010 r., przyjąłm Pana Jezusa do swojego serca i życia! On zaczął mnie zmieniać od wewnątrz. Czułam, jak miłość Boża zaczyna we mnie działać. Poczułam taką radość w sercu, tyle siły do życia! Świat wydał mi się inny, dobry, ludzie, z którymi zaczęłam się spotykać byli dla mnie mili, serdeczni, przybliżeli mi Pismo Święte, opowiadali świadectwa swojego życia. Poczułam, że Bóg mnie odmienia, leczy rany w sercu i duszy, wybacza grzechy, pokazuje, co było złe. Poczułam, jak żywy Jezus uwalnia mnie od rozpacz, gniewu, bezsilności, agresji, złości... Zaczęłam odczuwać spokój wewnętrzny, radość i chęć do życia, poczułam ogromną potrzebę czytania Pisma Świętego, modlitwy. Mój kontakt

ze zborom zielonoświątkowym zaczął być regularny, świadomy, uczestniczyłam w nabożeństwach, spotkaniach modlitewnych, grupach domowych, spotkaniach siostrzanych. Zaczęłam wyjeżdżać na konferencje, gdzie szczególnie odczuwałam działanie Ducha Świętego.

Jesienią 2010 r. pastor zaproponował mi chrzest wiary i w październiku zostałam ochrzczona na podstawie osobistego wyznania wiary w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego i Zbawiciela świata. Ten dzień na zawsze pozostanie w mojej pamięci, ponieważ zawarłam prawdziwe przymierze z moim Panem, Jezusem Chrystusem, stałam się dzieckiem Bożym.

Ponieważ czułam ogromną potrzebę poznawania Boga coraz mocniej i głębiej, często czytałam Pismo Święte, ale niewiele rozumiałam. Postanowiłam więc szukać możliwości, aby mądrze zgłębiać Słowo Boże i wyszukałam w internecie Krakowskie Seminarium Biblijne. Po rozważeniu oferty zdecydowałam się podjąć naukę w KSB, za co jestem Bogu bardzo wdzięczna.

W listopadzie 2010 r. Bóg miał dla mnie kolejne, wspaniałe przeżycie. Z grupą chrześcijan wybrałam się na konferencję do Krotoszyna, a dużo wcześniej modliłam się o dar modlenia się językami. W drodze powrotnej doświadczyłam chrztu w Duchu Świętym ze znamieniem innych języków. Moje modlitwy nabrały innego charakteru, stały się pełniejsze i bogatsze, Duch Święty zaczął działać z większą mocą, pojawiły się słowa, odpowiedzi na wcześniej zadawane Bogu pytania, łzy wzruszenia. Czułam, że Bóg w swej mądrości i przeogromnej miłości zaczyna mnie uwalniać z wielu negatywnych emocji, myśli, wspomnień.

Zaczął się proces przebaczenia tym, od których doznałam wiele krzywdy. Stopniowo zaczęłam Bogu wyznawać swoje grzechy i pokutować za nie, a Duch Święty zaczął mi

pokazywać, co jest jeszcze do oczyszczenia w moim sercu, duszy, ciele. Poczułam, że Bóg powoli leczy nie tylko moją duszę, ale również ciało.

Zdarzyło się, że podczas rutynowych badań kontrolnych zdiagnozowano u mnie silną anemię. Lekarz zdecydował o natychmiastowej hospitalizacji. Było lato, ja cieszyłam się słońcem i wypoczywałam nad wodą, kiedy otrzymałam telefon o złych wynikach krwi. W momencie, kiedy byłam przyjmowana do szpitala, Bóg dał mi ogromny pokój wewnętrzny i przekonanie, że mnie po raz kolejny uzdrowi. Miałam wizję, że odbieram wyniki krwi, na których poziom hemoglobiny jest wysoki (w normie). To dodało mi wiary i siły, że dam sobie radę i z Bożą pomocą pokonam chorobę. W tej chwili jestem pod stałą opieką poradni hematologicznej i po każdym kolejnym badaniu kontrolnym okazuje się, że poziom hemoglobiny jest coraz wyższy, a wyniki krwi zadowalające. Czuję się coraz lepiej i mam pewność, że dobry Bóg dokona uzdrowienia i wypełni się Jego obietnica.

Nieustannie modlę się, aby Bóg dotknął łaską moich synów, aby się nawrócili, byli zbawieni. I widzę, jak nasze relacje zaczynają być coraz cieplejsze. Pojawił się spokój, ufność, otwartość. Pod wpływem Bożego objawienia podarowałam synom egzemplarze Biblii.

Każdego dnia coraz bardziej odczuwam Boże działanie. Mam wielką potrzebę ciągłej społeczności z moim Panem, Jezusem Chrystusem. Słucham pieśni chrześcijańskich, ka-

zań, czytam Słowo Boże, książki i wydawnictwa chrześcijańskie. Bóg w swej niezmierzonej dobroci wypełnił Sobą i swoją miłością straszłą pustkę. Pragnę coraz bardziej podporządkowywać swoje życie, myśli i uczynki Chrystusowi.

Wiem, że życie z Jezusem nie zawsze bywa łatwe i przyjemne, ale jest jedynym i najlepszym sposobem, aby właściwie przeżyć ten czas naszego ziemskiego bytowania.

Pragnę poświęcić swoje życie Bogu i bliźnim, trwać w społeczności zborowej, podejmować się ewangelizacji oraz służbie, do której Bóg mnie powołał.

Ofiara Jezusa Chrystusa, którą złożył na krzyżu jest doskonała. Syn Boży pokazał nam, że mamy czerpać z tego aktu siły do życia wiecznego. Dlatego ja, dzięki łasce Bożej, postanowiłam przyjąć zbawienie. Kiedy moje stare życie leżało w gruzach, zaczęłam szukać Boga, przyszło opamiętanie. Czułam, jak następuje przemiana mojego umysłu, uświadomienie własnego grzesznego życia, pragnienie zmiany swojego postępowania. Odczułam ogromny żal za grzechy, pragnienie uwolnienia się od win, zaczęłam pokutować, wyznawać Bogu grzechy, prosić o wybaczenie i odpuszczenie. Czułam, jak jestem oczyszczana, uwalniana, przyjął od Boga przebaczenie i postanowiłam rozpocząć z Nim nowe życie, nawrócić się. Zawierzyłam Bogu, zaufałam, uznałam prawdę ewangelii i Pisma Świętego. Pokładałam w Bogu swoją wiarę i ufność w Jego miłość i moc, którymi mnie obdarzył. Jestem dzieckiem Bożym. I pragnę, aby to trwało zawsze.

JAK UCISK NA NERW URATOWAŁ MOJE MAŁŻEŃSTWO

Byłam w ósmym miesiącu mojej czwartej ciąży, gdy zachorowałam na rwę kulszową. Nie byłam w stanie się poruszać, ale musiałam jakoś sobie radzić z trójką dzieci (wszystkie poniżej 5 lat). Mój mąż w tym czasie pracował albo oddawał się pasji gry w golfa. Po dwóch dniach niewyobrażalnego bólu umówiłam się na wizytę w gabinecie chiropraktyka, aby ustawił mój kręgosłup. Niestety, po tej wizycie nie odczułam znacznej poprawy. Nadal byłam zgięta z bólu, a miałam przed sobą jeszcze 6 tygodni ciąży. Brett był niezadowolony, uważał, że niepotrzebnie zmarnowałam pieniądze.

Zaczęliśmy typową dla nas kłótnię. Na początku starałam się ją powstrzymać, ale on dosłownie „wyszedł z siebie”. Kłóciliśmy się dwa dni. Potem Brett pojechał na pole golfowe, a po zakończonym treningu prosto do pubu. Wypłakiwałam oczy, siedząc na bujanym fotelu, podczas gdy nasze córeczki starały się dbać o mnie, rysując mi obrazki, zmieniając pieluchy młodszemu braciszкови, a nawet przygotowując posiłki. Jeśli musiałam wstawać, wspierałam się na kulach, a 17-miesięcznego synka przez większość czasu trzymałam w wózku spacerowym, żeby był pod ręką.

W końcu odnalazłam męża w klubie golfowym i zażądałam, żeby wrócił do domu. Myślałam, że to już koniec naszego małżeństwa. Bardziej przejmował się golfem, kolegiami i przesiadywaniem w barze niż mną. Ja ledwie byłam w stanie dotrzeć do kolejnego dnia, a on zupełnie to ignorował.

Chciałam, aby nasze małżeństwo było budowane na Bożych zasadach, lecz wyglądało na to, że rozpadało się na moich oczach.

Była niedziela. Wsparta na kulach, z dziećmi uwieszonymi spódnicy, dotarłam do zboru pomimo strasznej ulewy. Nie byłam w stanie zatrzymać łez i poprosiłam o modlitwę. Byłam zła na Brett'a i bardzo cierpiałam z powodu rwy kulszowej. Jak on mógł mnie tak potraktować? Zawsze go wspierałam: masowałam mu plecy, gdy wracał zmęczony, pisałam karteczki z zachęcającymi słowami, dbałam, by w domu było czysto, a po powrocie z pracy zawsze czekałam na niego ciepły posiłek. We własnych oczach byłam osobą doskonałą, a on powodem wszelkich problemów w naszym związku.

Po tej niedzielnej modlitwie, Bóg zaczął nade mną pracować. Zadał mi pytanie: „Kate, a jeśli Brett nigdy się nie zmieni, czy będziesz gotowa poddać mu się i nadal okazywać mu miłość?”. Zrozumiałam, że Bóg chce, abym okazała Mu posłuszeństwo. W przeszłości udawałam, że jestem posłuszną żoną. Tylko z pozoru tak było, bo moje serce było zimne. Robiłam to po to, by Brett się zmienił. Teraz chciałam, by to się zmieniło. Postanowiłam okazywać posłuszeństwo Bogu, nawet jeśli w życiu Brett'a nie nastąpią zmiany.

To niesamowite, jak Bóg zaczyna działać, gdy tylko jesteś Mu posłuszni i czynimy to

szczerze i z radością. Podczas czytania Słowa, modlitwy o moje małżeństwo, a następnie po przeczytaniu dwóch bardzo pouczających książek na temat relacji w małżeństwie, przeprosiłam Boga za moje błędy. Zauważyłam, że postawa mojego serca zaczęła się zmieniać.

Czy Brett stał się doskonały? Czy ja taka się stałam? Ależ skąd! Nadal bardzo cierpiałam fizycznie. W domu robiłam jedynie to, co było konieczne i co byłam w stanie zrobić. Najważniejsze jednak było dla mnie, by nastąpiły zmiany na lepsze w naszym małżeństwie.

Zacząłam się szczerze interesować zamiłowaniem męża do golfa. Pytałam, jak mu idą treningi. Zamiast umawiać się na masaż kręgosłupa bez wcześniejszego uprzedzenia go o tym, zapytałam, czy wyraża zgodę, bym zafundowała sobie taki „luksus”. Zawsze się zgadzał... Niedługo potem zaczął dzwonić do mnie po drodze z pracy i pytał o listę potrzebnych zakupów. W soboty zaczął zabierać dzieci na zakupy spożywcze. Sprzątał kuchnię i robił pranie. Dostrzegał, jakie są potrzeby i angażował się we wszelką pomoc.

10 lipca 2010 r. urodziło się nasze czwarte dziecko - Luke. Bóg dał mi odczuć ulgę od rwy kulszowej już na kilka dni przed porodem. Brett wziął dwa tygodnie wolnego, by pomóc mi przy dzieciach.

Na moich oczach dokonał się cud w naszym małżeństwie. Kiedy tylko zdecydowałam się uznać, że byłam dumna z siebie jako żona i postanowiłam, że będę posłuszna Bożemu Słowu, to Bóg wykonał w nas niesamowitą pracę.

Teraz patrzę na mojego męża z szacunkiem i podziwem.

Zachęcam wszystkie żony do tego, by zastanowiły się czy przypadkiem pod przykrywką nadgorliwej duchowości nie doprowadzają swojego małżeństwa do rozpadu. Ja tak, niestety, robiłam. Patrz na swojego męża jak na dar od Boga. Nieważne, czy uważasz, że źle cię traktuje. Jeśli poddasz mu się, mając przy tym cichego i pokornego ducha, to Bóg z pewnością dokona wspaniałego dzieła w życiu twojego męża, dzieci i twoim własnym.



Patrz na swojego męża jak na dar od Boga



Singiel

- wybór
czy konieczność?

Singli w Polsce jest już prawie 5 milionów. Ta liczba będzie wciąż rosnąć: do roku 2030 ma być ich 7 milionów, czyli mniej więcej, co piąty Polak będzie należał do tej grupy. Samotność z wyboru to mit. Wielu wmawia sobie, że to ich świadoma decyzja, ale tak naprawdę każdy chce być z kimś bliskim. W Księdze Przypowieści Salomona 4,9-12 czytamy: Lepiej jest dwóm niż jednemu, mają bowiem dobrą zapłatę za swój trud: bo jeżeli upadną, to jeden drugiego podniesie. Lecz biada samotnemu, gdy upadnie! Nie ma drugiego, który by go podniósł. Także, gdy dwaj razem leżą, zagrzeją się; natomiast jak może jeden się zagrzać? A jeżeli jednego można pokonać, to we dwóch można się ostać; a sznur potrójny nie tak szybko się zerwie.

Ważne jest, aby znaleźć tę właściwą osobę. Życie w pojedynkę jest może wygodniejsze, ale ma swoją cenę. Żaden singiel nie chce pozostać singlem na dłużej. Gdzie zatem upatrywać przyczyn takiego stanu rzeczy? Powodem nie jest wcale to, że osoby samotne spędzają coraz więcej czasu w pracy, więc brakuje im czasu na poznanie kogoś. Problem tkwi raczej w społecznie akceptowanej powierzchowności relacji międzyludzkich.

Im więcej relacji, tym bardziej stają się one płytkie, a w tej powierzchowności trudno jest nawiązać bliższą więź. Aby tworzyć więzi, budować trwałą relację z kimś, potrzebna jest intymność, rozumiana jako umiejętność wzajemnego dzielenia się przeżyciami i doświadczeniami, zarówno duchowymi, jak i materialnymi, dawanie i otrzymywanie uczuciowego wsparcia, wymiana intymnych informacji... Intymność oznacza pozytywne uczucia i towarzyszące im działania, które wywołują przywiązanie, bliskość i wzajemną zależność partnerów od siebie. Intymność w danej relacji rozwija się powoli, bo na początku trudno jest porozumiewać się, a wzajemne próby po-

magania sobie mogą nawet przy najlepszych chęciach kończyć się niepowodzeniem wskutek nietrafnego rozpoznania i zrozumienia rzeczywistych potrzeb partnera albo też nieumiejętności ich zaspokajania. W miarę upływu czasu wykształcają się scenariusze wzajemnych kontaktów, które stają się (lub nie) źródłem zadowolenia. Wzrost liczby udanych wzorców kontaktowania się i umiejętności wzajemnego zaspokajania potrzeb przez partnerów wymaga, oczywiście, czasu i dobrych chęci obojga zainteresowanych.

Powodem, dla którego współczesny człowiek jest nieszczęśliwy i samotny, jest brak intymności w relacjach, które buduje.

Ma to często miejsce również w małżeństwie – intymność jest jednym z trzech filarów zdrowego małżeństwa (intymność – namiętność - zaangażowanie). Bez intymności w małżeństwie partnerzy czują, że są razem, a jednak odczuwają „bolesną” samotność. Wielu ludzi pozostających w związkach małżeńskich, gdy nie rozpoznaje tego braku intymności, uważa, że chodzi tu o problem bliskości fizycznej – kontakty seksualne – a tak naprawdę jest to problem utraty umiejętnego porozumiewania się ze sobą (a może nie utraty, ale fakt, że nigdy tego nie umieli).

Single mimo dużego grona znajomych i licznych pasji, którym się poświęcają, nadal czują się samotni. Stwierdzenie typu: „Jestem sam, ale nie samotny”, wydaje się mało prze-

konujące, nawet w obliczu ewidentnych korzyści, jakie niesie ze sobą życie w pojedynkę.

Samotność zawsze ma swoje przyczyny i nikt nie wybiera jej dobrowolnie na dłuższy czas. Samotność z wyboru to najczęściej: efekt odreagowania po nieudanym związku



(chyba o żadnym związku, który się zakończył, nie można mówić, że był udany); świadoma decyzja skoncentrowania się na pracy lub zainteresowaniach, wynikająca z przekonania, że druga osoba będzie od tego odciągać; czasem połączenie obu tych rzeczy.

Samotność mająca zapewnić wolność, często mylna jest z poczuciem bezpieczeństwa. Osoby rozczarowane poprzednim związkiem, często nie chcą tak szybko powtórnie się angażować, wolą czerpać przyjemność z bycia singlem. Na podstawie doświadczenia w pracy psychoterapeutycznej

z osobami, które utraciły partnera/partnerkę, uważam, że ofiarowanie sobie czasu na „uleczenie zranionego serca” jest wskazane po to, aby móc więcej zaoferować osobie, którą się pozna, z którą stworzy się nowy związek.

Coraz częściej się zdarza, że samotni ludzie podejmują próbę bycia z kimś, nie będąc do końca przekonanymi, co do swego wyboru (może nawet ze strachu przed tym, że mogliby zostać sami przez resztę życia). Mają oni często doświadczenia po nieudanych związkach, co w silny sposób obciąża ich emocjonalnie. Dlatego wskazany jest czas na uzdrowienie zranionego serca – przynajmniej rok. Wszystko po to, aby być zintegrowanym w momencie poznania „nowej” osoby, aby dać mu/jej się jako „całość”: sercem i umysłem. Przy braku uleczenia emocji - serca, które odczuwa żalobę po stracie – taka osoba jest częściowo w relacji z nowo poznaną, a częściowo należy do poprzedniej. Jest podzielona, a to oznacza, że nie może dać całej siebie. Przez co oszukuje nowo poznaną i oszukuje siebie, więcej - wydłuża czas zdrowienia.

Pytanie: szuka osoby „odpowiedniej”, bo „źle, gdyż jest sama”, czy szuka pocieszyciela? Uważam, że zgodnie z zasadą biblijną: czego szukamy, to znajdujemy. Dlatego nie dziwnym jest, że szukając pocieszenia, nie znaleźliśmy partnera/partnerki.

**Bądźmy szczerzy
i mówmy prawdę sobie
i innym. Boże Słowo zachęca nas do tego.
Gdy uporządkujesz relację z sobą samym, łatwiej ci będzie ułożyć zdrową relację z kimś**

**innym! Dlatego niewska-
zane jest leczenie serca
nową znajomością.
Czasowa samotność jest
wtedy nawet niezbędna.
Pozwala pozbierać myśli
po rozstaniu i choć ten
okres bywa bolesny,
często działa lepiej niż
spotykanie się z nową
osobą zaraz
po zakończeniu
poprzedniej relacji
tylko po to,
by zagłuszyć
uczucie pustki.**

Zbyt długa samotność może jednak zamie-
nić się w cierpienie! To prawda, że samotne ży-
cie jest wygodniejsze niż w związku, bo można
robić to, co się chce. Niezależnie od przyczyn,
samotność na dłuższą metę jest doświadcze-
niem trudnym do udźwignięcia. Komfort życia
w pojedynkę i duże grono znajomych to tylko
forma ucieczki. Wielu wmawia sobie, że bycie
singlem to ich wybór, ale tak naprawdę nikt nie
chce być sam. Najczęstsze, choć na pewno nie
jedyne, przyczyny samotności to: powierzch-
owność relacji międzyludzkich, odreagowa-
nie po nieudanym związku, komfort życia
w pojedynkę, nieśmiałość.

Nie ulega jednak wątpliwości, że człowiek
nie jest stworzony do tego, by być sam. Cho-
dzi przede wszystkim o nawiązanie bliższej,
trwałej więzi i o to, żeby nie uciekać przed



samotnością w pracę, konsumpcjonizm, roz-
rywkę. Paradoks naszych czasów: nikt nie
chce być sam, a za chwilę samotnych Polaków
będzie już 7 milionów!

Czy bycie singlem stało się także twoim
wyborem, a może koniecznością? Salomon
twierdzi, że jak człowiek myśli, takim jest.
Inaczej mówiąc, to nasze myśli, przekonania
sprawiają, do czego dążymy, czego się spo-
dziewamy. Zweryfikuj swoje obecne myślenie
na temat sytuacji, w jakiej się znalazłeś.
Przyjrzyj się swoim myślom, przekonaniom,
które miały i mają wpływ na to, jak obecnie
żyjesz. Wreszcie, bracia (i siostry), myślcie
tylko o tym, co prawdziwe, co pocziwe, co
sprawiedliwe, co czyste, co miłe, co chwaleb-
ne, co jest cnotą i godne pochwały (Flp 4,8).
Podsumowując, zmień myślenie na swój te-
mat, a zobaczysz, że zmieni się twoje życie!
I pamiętaj, że to Pan ochroną życia mego
(twego). Kogóż masz się lękać? (Ps 27,1).

Święta żydowskie Rosz Haszana i Sukkot

Kolejne święto to Rosz Haszana, co z hebrajskiego znaczy Głowa Roku. To święto przypada na nasz wrzesień i od niego obecnie rozpoczyna się kalendarz żydowski. Starożytni Izraelici wierzyli, że właśnie w tym czasie Bóg stworzył świat, w pierwszym tygodniu żydowskiego miesiąca tiszri. **Jest to święto wzywające do pokuty oraz czas przygotowania się do pojednania z Bogiem i ludźmi**, czas przygotowania się do Dnia Pojednania – Jom Kippur, który przypada 10 dni po rozpoczęciu się Rosz Haszana. Żydzi wierzyli, że jeśli w ciągu tych dziesięciu dni człowiek nie pokutował i nie odwrócił się od grzechu, Bóg wymaże jego imię z księgi żywota.

Podczas tego święta każdy Żyd miał obowiązek co najmniej raz usłyszeć głos trąby szofaru.



Z kolei Obj 11,15 mówi, że dźwiękiem trąby będzie zapowiedziane powtórne przyjscie Jezusa Chrystusa. O trąbie zwiastującej powtórne przyjscie Jezusa Chrystusa, zmarłych umarłych, którzy odeszli w wierze oraz pochwylenie Kościoła na

uczcie Baranka mówi też 1 Tes 16,18. **Dla Żydów mesjańskich, tzn. tych, którzy wierzą w zbawienie dzięki Jezusowi, dźwięk szofaru przypomina o Jego powtórny przyjsciu.** Miesiąc tiszri to siódmy miesiąc, a liczba 7 jest dla Żydów symbolem pełni. Tak więc jest to dla Żydów mesjańskich symbol wypełnienia się Bożego planu zbawienia ludzkości, a Jom Kippur – symbol Dnia Sądu Ostatecznego.

W przeszłości w dzień Jom Kippur kapłan – tylko jeden raz w roku – miał prawo wejść z krwią kozła ofiarnego za zasłonę do miejsca najświętszego w świątyni. Jeżeli kapłan wychodził stamtąd żywy, oznaczało to, że Bóg przyjął ofiarę i przebaczył grzechy całego narodu. Kapłan był przewiązywany sznurem – gdyby nie wyszedł żywy, miano go wyciągnąć za ten sznur, gdyż nikomu innemu nie wolno było wejść do miejsca najświętszego. Wybierano wówczas 2 koziołki – jeden był składany na ofiarę przebłagania za grzechy całego narodu, a na drugiego kapłan przez włożenie rąk wkładał grzech całego narodu i potem jako tzw. kozioł przebłagania był on wypędzany na pustynię, poza obóz.

Pan Jezus zmarł i przelał krew również poza obozem (poza miastem), na wzgórzu Golgoty. Symbolizują Go zarówno kozioł ofiarny, którego krew zmazywała grzechy, jak i kozioł przebłagania, na którego wkładano grzechy. **Kapłan w narodzie izraelskim był pośrednikiem między Bogiem a ludźmi, dla nas takim pośrednikiem jest Jezus.**

Jom Kippur kończy się dęciem w szofar.

Tradycyjni Żydzi wierzą, że głos trąby zapowie im przyjsie Mesjasza, a wierzący w Jezusa – Mesjasza wierzą, że głos trąby zapowie Jego powtórne przyjsie.

Kolejne święto to Sukkot, tzw. Święto Kuczek czyli Święto Namiotów. Jest obchodzone po zbiorach płodów ziemi, w 15. dniu miesiąca tiszri, co u nas wypada na przełomie września i października. Jest to trwające 7 dni radosne święto dziękczynne, rolnicze, a także wyrażające wdzięczność za wyzwolenie z niewoli egipskiej. Na pamiątkę wyjścia z niewoli i 40-letniej wędrówki po pustyni, kiedy to ludzie mieszkali w namiotach, podczas tych świąt Żydzi mieszkają w szałasach budowanych specjalnie w tym celu np. na płaskich dachach domów izraelskich. Podczas wędrówki Bóg ich ochraniał, zaopatrywał, leczył, Izraelici doświadczali wielu Bożych cudów.

Analogicznie i teraz, ci, którzy powierzą swe życie Bogu i Jezusowi Chrystusowi, mogą się skryć w Jego namiocie i są przez Niego ochraniać. On troszczy się o wszystkie ich potrzeby.

W Sukkot czytana jest Księga Zachariasza – fragmenty mówiące o przyjsiu Mesjasza. Gdy jeszcze istniała świątynia w Jerozolimie, codziennie ofiarowywano w niej 70 sztuk bydła. Było to ofiarą składaną w imieniu 70 narodów świata oczekujących na nawrócenie się do Boga Izraela. Obecnie nie musimy już składać ofiar z bydła, gdyż ofiarę z własnej krwi złożył Jezus – Mesjasz. On już przyszedł, a teraz oczekujemy Jego powtórnego przyjsia.

Gdy istniała jeszcze świątynia w Jerozolimie, w Sukkot odbywała się ceremonia wlewania wody. Kapłan w złotym dzbanie przynosił wodę z sadzawki Syloe i wlewał ją z jednego ołtarza do basenu. Z drugiego ołtarza było wlewane wino. Płyny mieszały się i spływały do potoku Cedron. Akt ten miał

podwójne znaczenie: jako prośba o obfity deszcz, od którego zależał urodzaj oraz jako nadzieja na wypełnienie się proroctwa z Księgi Joela, że Bóg wyleje Ducha Świętego na wszelkie ciało, to znaczy na Żydów i na inne narody, które uwierzą. Dziś wiemy, że Duch Święty może zstąpić na każdego wierzącego, który tego zapagnie.

Świątynia w czasie ceremonii była mocno oświetlona, a ponieważ było tam mnóstwo złota, jej blask był widoczny z daleka. **Jezus powiedział o sobie: Ja jestem światłością świata i ta światłość może oświecić każdego, kto wierzy. Nawijając do ceremonii wlewania wody, Jezus powiedział, że każdemu pragnącemu da wodę żywota i nie będzie on pragnął na wieki.**

W czasie tego święta kapłani dęli w trąby, lewicy śpiewali hymny, a lud potrzasał tzw. hilałami. Były to gałązki: jedna z palmy, trzy z mirtu i dwie z wierzy znad potoku Cedron. Te gałązki były przeplecione złotą nitką. W czasie potrząsania lud recytował tzw. hallel, tzn. psalmy od 113 do 118. Są tam słowa: o, Panie, racz zbawić! Właśnie wtedy, gdy wlewano wodę, a lud wołał „Panie, zbaw nas!”, Pan Jezus wypowiedział głośno wspomniane wcześniej słowa o wodzie żywej (J 7,37-38), a wtedy wśród tłumu powstało rozdwojenie, jeśli chodzi o Jezusa (J 7,43).

Jak pamiętamy, gdy Jezus wjeżdżał do Jerozolimy przed ukrzyżowaniem, tłum wołał, potrzasał gałązkami palmowymi: Hosanna Synowi Dawidowemu! Słowo hosanna znaczy „zbaw nas”, a więc ludzie faktycznie wołali: „Zbaw nas, Synu Dawida!”. **Tak więc święto Sukkot może być traktowane jako radosne święto obwieszczające przyszłą radość z powodu powtórnego przyjsia Mesjasza tym, którzy w Niego uwierzyli.** Cdn.



Przepisy Samarytanki

Sałatki (przepisy z Kanady)

Składniki:

Salatka 1: sałata lodowa, ogórek zielony, avocado, cebula
dressing: olej, czosnek, ocet jabłkowy, musztarda, cukier, sól

Salatka 2: marchew starta, płatki migdałowe, mandarynka lub mango, majonez z jogurtem

Salatka 3: seler starty, orzechy włoskie, jabłko, cytryna i majonez

Salatka 4: por, jabłko starte, majonez

Salatka 5: resztki kurczaka, seler zielony, papryka, kukurydza, majonez

Salatka 6: kapusta biała posiekana, seler zielony, marchew starta, rodzynki, orzechy, mandarynki, majonez

Salatka warstwowa: seler konserwowy, ananas pokrojony w kostkę, kukurydza, szynka pokrojona w kosteczkę, jajka na twardo z majonezem, por zielony, ser żółty starty na tarce

Sposób wykonania: składniki poszczególnych sałatek wymieszać ze sobą

Smacznego!

Spotkania

W najbliższym czasie spotkania z Czytelniczkami „Samarytanki” planujemy w następujących miejscowościach: Jaworzno, Wiśloczek, Rzeszów, Radomsko, Warszawa-Wola i Głubczyce.

JAWORZNO, ul. Leśna 11, tel. 602 159 854
sobota, 16 czerwca, godz. 11.00-16.00
Temat: „**Być kobietą zrównoważoną emocjonalnie**”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzik

WIŚLOCZEK (Bieszczady),
Zbór Wspólnoty Zielonoświątkowej
tel. 13 435 91 24
sobota, 23 czerwca, godz. 11.00-16.00
Temat: „**Kobieta według Bożego serca**”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzik

RZESZÓW, ul. Dąbrowskiego 1A
tel. 17 852 96 41
sobota, 31 czerwca, godz. 14.00-17.00
Temat: „**Kształtowanie wewnętrznego piękna**”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzik

RADOMSKO, ul. Kopiec 17, tel. 501 659 766
sobota, 8 września, godz. 11.00-16.00
Temat: „**Kobieta według Bożego serca**”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzik

WARSZAWA-WOLA, ul. Potczyńska 59,
tel. 22 744 53 75
sobota, 22 września, godz. 14.30-17.30
Temat: „**Kształtowanie wewnętrznego piękna**”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzik

GŁUBCZYCE, ul. Pszczelna 2,
tel. 77 485 26 36
sobota, 29 września, godz. 11.00-16.00
Temat: „**Kuchnia i medycyna**”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzik

Jeżeli jesteś zainteresowana poruszaną w naszym czasopiśmie tematyką, jeżeli masz problem i potrzebujesz modlitwy lub porady duszpasterskiej, napisz do nas na adres:

W następnym numerze:

Być babcią

O najlepszym okresie życia Autorki, która cieszy się wnukami. Pragnie, by spuściznę, jaką dysponuje, przekazać następnym pokoleniom, aby jesień ich życia była także pełna pozytywnych oczekiwań.

Starzeć się pięknie

Kilka podpowiedzi, jak dbać o wygląd i higienę osobistą na przykładzie kobiet z Biblii.

Piękna polska jesień

Aby mogła rzeczywiście taką być, musi mieć swoje odbicie w życiu ludzi wkraczających w „trzeci wiek”. Kolory, jakie wnoszą: miłość, radość, mądrość, pobożność itp., to najpiękniejsze barwy, które cechują ludzi z właściwie wypracowaną postawą wobec siebie samych przez całe życie.

Kto decyduje o wartości poczętego życia?

świadectwo rodziny pastorskiej, która spodziewała się szóstego dziecka. Niestety, ciąża zakończyła się śmiercią dziecka w 19. tygodniu. Lekarze chcieli dokonać aborcji, ale rodzice modlili się, aby nastąpił naturalny poród. Chcieli zobaczyć swoje dziecko i pożegnać się z nim. Bóg dał im tę możliwość. Tessa dzieli się swoimi przemyśleniami na temat wartości poczętego życia.

Troszcz się o trzodę

Jezus stał się naszym Najwyższym Pasterzem; pragnie jednak, byśmy jako Jego współpracownicy troszczyli się o Jego owieczki - kościół - który jest przeciwieństwem zbudowany z naszych rodzin. Nancy na przykładach z Biblii wskazuje nam sposób, w jaki możemy to robić. Czasami my, matki, musimy być odważne jak Dawid, w innych przypadkach - troskliwe, mądre i gotowe do poświęcenia czasu, by uczyć „młode owieczki”, jakimi drogami powinny podążać.

Samarytanki

Skrytka pocztowa 17, 43-430 Skoczów
tel. 33 853 24 17
e-mail: tatiana.hydzik@gmail.com

Zapraszamy na naszą stronę www.chmk.kz.pl

Promieniowanie

W życiu potrzeba
dobrem promieniować
Więc rozwiąż
słoneczny supel
i porozdawaj światło
Nie oczekuj podziękowań
rób to na ślepo
i za darmo
Niech napotkanym bliźnim
jasno będzie i dobrze
jak promykowi słońca
w sytych oczach dziecka

Wacław Pomorski